

WŁADYSŁAW KEELM

" Cyklop "

POD SZTANDAREM

SZP - ZWZ - AK

Warszawa, 1971

" Dałem Ci, Najjaśniejsza Pani,
 Wszystko co w życiu wartość miało
 I mogę jeszcze tylko ciało
 Złożyć Ci w dani. "

S ł o w o w s t ę p n e

Do napisania wspomnień z okresu okupacji skłonili mnie przyjaciele i dawni towarzysze broni: por. Emil Sztark /"Mocny" pierwszy komendant inspektoratu kaliskiego Służby Zwycięstwu Polski, a potem Związku Walki Zbrojnej/ i st. sierżant Jan Ignar /"Bicz"/, jak również oficerowie b. sztabu Okręgu Łódzkiego AK, z którymi zetknąłem się w wiele lat po wjaie: płk. Michał Stempkowski /"Barbara", ostatni Komendant Okręgu/ i płk. Zygmunt Janke /"Walter"/. Celowość wyłowienia z przeszłości jak największej ilości nawet drobnych faktów podkreślano również podczas zebrania poświęconego historii działań konspiracyjnych na terenie ziemi kaliskiej, które w dniach 5 i 6 czerwca 1971 r. zorganizował Oddział Pow. ZBoWiD w Kaliszu.

Skreśliłem te wspomnienia po upływie 26 lat od zakończenia Drugiej Wojny Światowej; nie więc dziwnego, że wiele postaci, nazwisk, pseudonimów, szczegółów i nawet wydarzeń zatarło się w mojej pamięci. W odtwarzaniu obrazów tamtych lat jestem ponadto skrępowany zastrzeżeniami niektórych osób, aby nie wspominać o ich udziale w konspiracji oraz brakiem zgody innych - - z którymi nie znalazłem kontaktu - na ujawnienie ich uczestnictwa w podziemnym froncie.

Jako kaliszanie z urodzenia szczególną satysfakcję sprawia mi możliwość przypomnienia, że od pierwszych dni okupacji niemieckiej istniało w Kaliszu ogniwo Organizacji, utworzonej w Warszawie 27 września 1939 r. na polecenie Naczelnego Wodza w celu walki z najeźdźcą.

Starałem się odtworzyć dzieje SZP - ZWZ - AK w Obwodzie Kaliskim z punktu widzenia i wycinka działania prostego żołnierza Polski Podziemnej, którego jedynie szczególne okoliczności wysunęły nieco poza konspiracyjny system trójkowy i zbliżyły do nurtu dużej akcji.

Czytający ten wycinek kaliskiej historii okupacyjnej nie znajdzie w nim opisów bohaterskich czynów, starć zbrojnych i wielkich osiągnięć; ilustruje on bowiem działalność, polegającą z konieczności jedynie na wysiłkach w celu utrzymania w germanizowanym usilnie terenie jak największej ilości Polaków, na podtrzymywaniu wiary w zwycięstwo, zdobywaniu i przekazywaniu wyższemu ogniwom informacji o siłach, zasobach i poczynaniach wroga oraz przygotowaniu się do ostatecznej z nim rozprawy.

Krańcowo inne były możliwości działań konspiracyjnych w Kaliszu - w obrębie tzw. Warthegau - niż w ówczesnej Generalnej Guberni, co pragnę podkreślić, aby uprzedzić nieporozumienia, mogące wyniknąć przy ocenach porównawczych.

Po pierwsze - Polaków z Warthegau wysyłano do obozów koncentracyjnych i przymusowych robót tak jak rodaków z Guberni /może nieco gorliwiej/, ale ponadto stosowano masowe wysiedlenia: w 1941 r. stanowiliśmy mniejszość, a w 1943 pozostała nas już tylko - w zestawieniu z napływową falą Niemców - garstka, którą zresztą stanowiły w przeważającej części osoby starsze, kobiety i dzieci. Siły Organizacji były więc ilościowo niewielkie, a możliwości dekonspiracji ogromne.

Po drugie -a po przejęciu przez Niemców okolicznych majątków ziemskich i gospodarstw chłopskich nie mieliśmy warunków terenowych do działań partyzanckich, takich jakie rozwijały się w Gubernii.

Po trzecie - my /w Kaliszu przynajmniej/ nie otrzymywaliśmy żadnej pomocy finansowej. Każdy członek Organizacji musiał pracować na utrzymanie rodziny i siebie, co ograniczało do minimum wolny czas i swobodę ruchów, gdyż pracodawcami byli wyłącznie Niemcy, a zatrudnienie regulował bardzo rygorystycznie "Arbeitsamt" z pomocą żandarmerii. Jakikolwiek fałszywe dokumenty tożsamości czy pracy nie były skuteczne na dłuższą metę.



Chciałbym, aby te moje zapiski były skromną cegiełką przy budowie pomnika prawdy historycznej o żołnierzach, mających prawo zakończyć życie słowami starej piosenki: "Z trudu naszego i znoju Polska powstała by żyć".

I. W W A R S Z A W I E

5

Od 29 sierpnia 1939 r. - dnia pierwszej mobilizacji - zgłaszałem się jako ochotnik do kilku PKU na terenie Warszawy, wszędzie jednak pozbywano się mnie szybko na widok książeczki wojskowej z kategorią "D", którą posiadałem jako jednooki. Nie pomagały zapewnienia, że jestem silny i zdrowy, że z bardzo dobrym wynikiem ukończyłem szkolne Przysposobienie Wojskowe, że posiadam srebrną Odznakę Strzelecką.

Upokorzony, miotalem się po mieście, licząc jeszcze na poparcie znajomych oficerów: większości nie zastałem już jednak w domach, a nieliczni odnalezieni rozkładali ręce.

Data 31 sierpnia wyryła się podwójnie w mojej pamięci: jako wigilijny dzień wojny i dzień ślubu, który zawarłem z narzeczoną korzystając z indultu generalnego.

Dopiero 2 września zostałem przyjęty jako ochotnik i zarejestrowany na liście "żywych torped" w siedzibie Związku Powstańców Śląskich, który akcję werbunkową zaczął, ale jej nie kontynuował, zwiżając po kilku dniach agendy.

4 września został zamknięty warszawski Oddział Banku Francuskiego Polskiego przy ul. Czackiego 4, w którym pracowałem. Dyrekcja wyjechała do Paryża, a polscy urzędnicy zostali zwolnieni, otrzymując 3-miesięczną odprawę.

Bezskutecznie starałem się nadal włączyć do wojska. Pozostała mi Straż Obywatelska, do której zgłosiłem się 8 września i należałem do dnia kapitulacji w ramach okresowo uzbrajanego oddziału, przeznaczonego do wykrywania ognisk sygnalizacyjnych dywersantów oraz sprowadzania dla wojska żywności z okolic podwarszawskich.

W połowie września pocisk artyleryjski zrujnował nasze mieszkanie przy ul. Podchorążych i od tej pory zajmowaliśmy z żoną kilka kolejnych kwater udostępnionych na podstawie zaświadczenia wydanego przez Straż Obywatelską.

Po kapitulacji Warszawy - ogłuszony klęską tak jak wszyscy mieszkańcy Stolicy - błąkałem się po mieście, szukając znajomych, bez żadnych jeszcze konkretnych planów na przyszłość. Spotkany przypadkiem znajomy oficer, który uniknął niewoli, naponknął, że coś się przeciw Niemcom organizuje, ale co i gdzie - sam jeszcze nie wiedział.

Z pomocą przyszedł mi szczęśliwy przypadek. Któregoś z pierwszych dni października spotkałem na Marszałkowskiej całkiem niespodziewanie generała Michała Karasiewicza - Tokarzewskiego

którego ledwie poznałem w cywilnym ubraniu, bardzo zmienionego.

W rozmowie z tym dawnym, jeszcze z czasów wileńskich, znajomym mojej rodziny zorientowałem się, że nie bez powodu pozostał on w Warszawie. Po długich, gorących naleganiach, aby skontaktował mnie z ruchem podziemnym, którego formowanie się przeszuwałem, Generał polecił mi stawić się 10 października o godz. 17⁰⁰ pod wskazanym adresem /przy ul. Wilczej czy też Wspólnej, dokładnie nie pamiętam/. W oznaczonym terminie zastałem tam mego patrona w otoczeniu kilku mężczyzn. Generał oświadczył, że - spełniając moją prośbę - przyjmuje mnie w szeregi Służby Zwycięstwu Polski i przekazuje do dyspozycji majora "Emila", któremu dał odpowiednie wskazówki. Dodał z uśmiechem, że zdejmuje ze mnie piętno kategorii "D". Wkrótce opuścił lokal - widziałem go wtedy po raz ostatni.

Major "Emil" odebrał ode mnie krótką przysięgę na wierność Rzeczypospolitej i powiedział, że od tej chwili jestem żołnierzem polskiej armii podziemnej w stopniu szeregowca z cenzusem. Na polecenie majora obrałem pseudonim /"Iwir"/ i podałem krótki życiorys. Major oznajmił mi, że po rozmowie na mój temat z generałem Tokarzewskim uważa za wskazane, abym udał się do Kalisza, którego środowisko znałem, gdyż przebywałem tam z małymi przerwami od urodzenia do ukończenia w 1929 r. gimnazjum, a w ciągu następnych lat utrzymywałem stały, bezpośredni kontakt z najbliższą rodziną, przyjaciółmi i znajomymi mieszkającymi w Kaliszu.

Jako zadanie otrzymałem gromadzenie jak najdokładniejszych informacji dotyczących: a/ ustosunkowania się do władz okupacyjnych licznych rodzin pochodzenia niemieckiego, zamieszkałych w Kaliszu i jego okolicach, b/ rodzajów, potencjału i rozmieszczenia jednostek okupanta, c/ oficerów i podoficerów /zawodowych i rezerwy/ znajdujących się w Kaliszu.

Major "Emil" uprzedził mnie, że na teren Kalisza będą kierowani również niektórzy z pozostających na wolności oficerów i podoficerów byłej dywizji kaliskiej, jednak nie wolno mi dekonspirować się w zetknięciu z nimi.

Miałem oczekiwać łącznika, który przybędzie z hasłem "Przychodzę od doktora".

II. W KALISZU

1. Początki

Do Kalisza przybyłem z żoną 13 października 1939 r. Zamieszka-
liśmy u mojej matki, Marii Trzeciakowej, której drugi mąż
- dr.med. Mieczysław Trzeciak - został zmobilizowany jako chi-
rurg - oficer rezerwy I, jak się później okazało zginął w Ka-
tyniu.

W Kaliszu mieszkała również matka mojej żony, wdowa po kapi-
tanie 29 Pułku Strzelców Keniowskich, z córką, studentką filo-
zofii UJP w Warszawie.

Mając na utrzymaniu żonę, matkę i 9-cioletnią przyrodnią
siostrę, musiałem szybko znaleźć źródło zarobkowania. Nie
wchodziło naturalnie w rachubę angażowanie się do pracy w przy-
jętych przez okupanta urzędach i instytucjach.

Po porozumieniu się ze znajomym sprzed wojny, Januszem Łukom-
skim, nabyliśmy do spółki konia i 1-tonową platformę, postana-
wiając zarobkować jako przewoźnicy.

Wspólnik mój - przed wojną urzędnik Oddziału Banku Polskiego
w Inowrocławiu - był zięciem dowódcy dywizji kaliskiej generała
bryg. Franciszka Altera, który znalazł się po kapitulacji
Warszawy w niewoli w Murnau. Łukomski nie służył w wojsku
/kategoria "C"/, przeżył oblężenie w Stolicy, a po jej upadku
znalazł się w Kaliszu i zamieszkał z żoną u teściowej.

Stosownie do otrzymanego w Warszawie rozkazu majora "Emila",
abym bezwzględnie nikomu nie ujawniał przynależności do SZP -
nie wtajemniczałem mego wspólnika w nic, co miało związek z
konspiracją.

Zawód przewoźnika okazał się bardzo ciężki, ale z czasem
dostatecznie popłatny, dający poczucie pewnej niezależności,
a dla moich zadań miał szczególne znaczenie, gdyż umożliwiał
i ułatwiał poruszanie się po mieście i w jego okolicach bez
zwracania baczniejszej uwagi wroga.

Dzięki mojemu nazwisku oraz znajomości przez Łukomskiego
języka niemieckiego /którego ja nie znałem/ firma "W.Kelm
& Genossen" nie budziła zastrzeżeń ani podejrzeń kaliskich
władz niemieckich, które wydały nam nawet - po odpowiednim
zapisaniu do ksiąg i ostemplowaniu wielką "glapą" - przygotowa-
ne przez Łukomskiego zaświadczenie, z którego misternie sformu-
lowanej treści wynikało, że zarejestrowane przedsiębiorstwo
przewozowe upoważnia nas do swobodnego poruszania się w obrębie
miasta Kalisza i powiatu kaliskiego. W zaświadczeniu nie było
wzmianki ani o naszej narodowości ani o godzinie policyjnej

Praca nasza polegała na przewożeniu drobnicy z dworca kolejowego i na dworzec, na rozładowywaniu wagonów towarowych /węgiel, cegła, koks, beły papieru, tytoń, wódka/, na dokonywaniu przeprowadzek, a w okresach krytycznych - na wywożeniu zawartości śmietników.

Mniej więcej w początkach grudnia miałem dość wyraźne rezerwy w sytuacji, zarówno jeśli chodziło o środowisko polskie, jak też w znacznej mierze niemieckie. Orientację w postawach mieszkańców Kalisza ułatwiały mi szerokie znajomości w kręgu moich dawnych kolegów i znajomych oraz w gronie przyjaciół i znajomych matki i ojczyma; rodzin zarówno rdzennie polskich, jak i pochodzenia niemieckiego, z których pewna część już w początkach okupacji deklarowała swoją lojalność wobec okupanta.

Jeśli chodzi o Niemców - dużą ilość informacji zdobyłem dzięki temu, że od świtu do nocy poruszaliśmy się ze swym wozem po mieście, zaglądając również tam, gdzie wstęp był na ogół surowo wzbroniony. Miałem więc wiele danych z zakresu zadań sleszonych mi przez majora "Emila".

Dopiero na kilka dni przed Wigilią 1939 r. doczekałem się łącznika z Warszawy /w stopniu kapitana, pseudonimu nie pamiętam, który powiadomił mnie, że SZP została zorganizowana terenowo, że Kalisz włączony jest do zasięgu dawnego DOK Łódź oraz że w najbliższym czasie otrzymam kontakt z komendantem Inspektoratu Kaliskiego SZP, który przejmie kierowanie moją działalnością.

Dowiedziałem się od przybyłego kapitana o końcowym akcencie kampanii wrześniowej - działaniach gen. Kleeberga, o pierwszych egzekucjach dokonywanych przez Niemców w Warszawie oraz o stosunkach panujących w Stolicy.

Kapitan ocenił pozytywnie i zabrał moje sprawozdania, które dotyczyły: rozlokowania i przybliżonej liczebności wojska, żandarmerii i Gestapo; obsady dworca kolejowego i poczty, sprzętu motorowego, składów i magazynów, kwater i posterunków, znanej mi ilości czynnych radioaparatów ukrytych przez Polaków, oficerów i podoficerów polskich znajdujących się w terenie, rodzin kaliskich, które, wykorzystując niemieckie pochodzenie zasiliły szeregi wroga, formującej się kadry "Hilfspolizei", rekrutującej się z młodych Volksdeutschów, przeważnie półinteligentów, wyraźnych polakożerców.

W końcu grudnia zjawiła się u nas w domu p. Zofia Blumówna, sanitariuszka, która przybyła wprost ze Związku Radzieckiego, z obozu w Ostaszku, gdzie przebywała z formacją Wojska Polskiego wziętą do niewoli w Białowieży. Wróciła dzięki temu, że

żołnierzy i sanitariuszki zwolniono, zatrzymując w niewoli oficerów. Przekazała nam pozdrowienia od ojczyma. Była to pierwsza wiadomość o jego losie i uradowała nas pewnością, że żyje.

Wkrótce potem otrzymaliśmy inną, bolesną wiadomość, że w bitwie nad Bzurą zginął brat mojej żony, a mój serdeczny przyjaciel, ppor. 18 p.p. Stefan Stando.

W styczniu 1940 r. uzyskałem kontakt z komendantem Inspektoratu Kaliskiego SZP, "Mocnym"; okazał się nim mój dawny dobry znajomy, por. rez. Emil Sztark, który po pewnym czasie poznał mnie z komendantem na m. Kalisz, "Sławkiem"/por. Wiesławem Laskowskim/.

W początku lutego "Mocny" powiadomił mnie, że Służba Zwycięstwu Polski została w styczniu przekształcona na Związek Walki Zbrojnej /ZWZ/, pozostający pod komendą gen. broni K. Sosnkowskiego, mającego siedzibę w Paryżu. Złożyłem przysięgę w brzmieniu zatwierdzonym przez Naczelnego Wodza. Zmieniłem wtedy pseudonim "Twir" na "Cyklop".

"Mocny" i "Sławek" polecieli mi wypełnianie zadań w dotychczasowym zakresie. Meldunki miałem składać bezpośrednio jednemu z nich. Ponadto kontakty miałem utrzymywać z "Motorem", "Stepem" /Henrykiem Skassą/ i łączniczką, której ani nazwiska ani pseudonimu nie pamiętam, gdyż niewiele miałem z nią kontaktów. Na jednej z odpraw poznałem "Szarego" /kpt. Jana Beznera/ z pionu kontrwywiadu. "Mocny" poinformował mnie, że Obwód Kaliski ZWZ nosi kryptonim "Wyspa" /zmieniony później na "Sitowie"/.

"Sławek" podał mi na wypadek sytuacji krytycznej - jako ściśle tajny - kanał na Okręg w osobie inż. Jerzego Dreszera oraz włączył mnie do siatki przajmowania i rozprowadzania wiadomości z nasłuchu radiowego.

2. Ż y d z i

Któregoś wieczora w grudniu 1939 r. zjawił się u mnie w domu młody Żyd, którego znałem z widzenia. Przyszedł wejściem kuchennym, przedstawił się jako wysłannik gminy żydowskiej /kahału/ i prosił o poufną rozmowę, w toku której oświadczył, że gmina - mając do mnie i do Łukpmskiego zaufanie "jako do porządnych ludzi" - zwraca się do nas z prośbą o pomoc.

Władze okupacyjne zezwalały jeszcze Żydom na wyjazd z Kalisza via Łódź do Generalnej Guberni, jednak bez żadnych bagaży, kosztowności i pieniędzy, oraz po dokładnej rewizji każdej osoby. Gmina otrzymała informację, że wkrótce nawet i takie wyjazdy będą zabronione i że Żydzi zostaną umieszczeni w izolowanej

części miasta, skąd wychodzić będą tylko do pracy.

Gmina pragnie więc zorganizować wyjazdy do Generalnej Gubernii, przede wszystkim kobiet i dzieci, jednak zakaz zabierania przez wyjeżdżających niezbędnych przedmiotów i funduszków stwarza dla nich perspektywę beznadziejnej sytuacji.

Gmina zwraca się z prośbą, abyśmy się podjęli ekspediowania bagaży wyjeżdżających Żydów - w formie przesyłek kolejowych kierowanych na wskazane adresy - deklarując jako nadawcę naszą firmę przez wozową. Rozmówca mój zaznaczył, że koszty nie grają żadnej roli, gdyż gmina orientuje się, iż w przypadku wykrycia takiej akcji przez Niemców grozi nam co najmniej obóz koncentracyjny.

Trudno wyrazić, co czułem wówczas, patrząc w oczy, w których straszny lęk przeradzał się już w rezygnację. Czułem, że powinienem wyrazić zgodę, tak z pobudek ludzkich i obywatelskich, jak też dlatego, aby móc sprzeciwić się czynnie intencjom okupanta.

Powiedziałem, że muszę w tej sprawie porozumieć się z moim współnikiem i wyznaczyłem rozmówcy spotkanie za kilka dni.

Łukomski - jak to było do przewidzenia - bez zastrzeżeń podzielił moje przekonanie, że powinniśmy Żydom pomóc.

Podczas następnego spotkania z przedstawicielem kahału /nazwiska jego nie pamiętam/ zakomunikowałem mu, że propozycję gminy przyjmujemy. Wskazałem na konieczność bezwzględnego nadania kilku mało wartościowych przesyłek tytułem próby. Na pytanie dotyczące kosztów wyjaśniłem, że stosujemy obowiązującą stawkę - 1 fenig za 1 kilo - przy jednorazowym przewozie minimum 500 kg. Rozmówca mój był zaskoczony i proponował stawki kilkakrotnie wyższe, podkreślając nasze ryzyko. Nie mógł zrozumieć, dlaczego nie podjąłem na ten temat dyskusji.

Pierwsze dwa bagaże nadaliśmy w początkach stycznia 1940 r. jako przesyłki kolejowe poczesne. Potwierdzenie, że dotarły do rąk adresatów nadeszło do gminy bardzo szybko. Od tej pory wysłaliśmy dużą ilość bagaży, nadawanych przeważnie równocześnie z wyjazdami poszczególnych rodzin. Długo jeszcze nadchodziły potwierdzenia otrzymywania przesyłek przez adresatów. Ani razu nie słyszeliśmy o reklamacjach.

Nigdy nie interesowaliśmy się, co zawierają wysyłane przez nas toboły i kosze, ale wątpię, czy zawierały tylko buty i garnki ...

Akcja trwała kilka miesięcy i skończyła się szczęśliwie..

Kiedy Niemcy wydali zakaz wydalania się Żydów z Kalisza, na krótko przed zamknięciem ich w getcie, spotkał mnie ów wysłannik gminy. W imieniu kahału podziękował za to, co "z takim ryzykiem i prawie bezinteresownie" zrobiliśmy i zapewnił: "my Żydzi, potrafimy się za to odplacić". Czułem się zmuszony odpowiedzieć, że

my - chrześcijanie - nie liczymy na zapłatę za przysługę, którą możemy uczynić.

3. Wysiedlenia i przekwaterowania.

Pierwsze wysiedlenie Polaków z Kalisza do Generalnej Guberni miało miejsce w początku lutego 1940 r.

Którejś mroźnej nocy zostaliśmy zbudzeni przez żandarmów, którzy za pośrednictwem tłumacza kazali nam szybko się ubrać i zapakować niezbędne drobne rzeczy, ponieważ będziemy wysiedleni do Generalnej Guberni. Matce - cierpiącej na atak ischjasu i unieruchomionej w łóżku - zezwólili, po długich naleganiach, pozostać w domu. Mnie, żonę i 10-letnią siostrę ponaglali do wyjścia. Do walizki wrzuciliśmy, oszołomieni, bezsensownie wybrane przedmioty. Matka w ostatniej chwili dała żonie złoty zegarek z bransoletką, jako przedmiot wartościowy, mogący się nam przydać.

Zaprowadzono nas na punkt zbiorczy, który się mieścił w budynku b. Banku Polskiego. Zastaliśmy tam tłum ludzi nie mniej od nas oszołomionych, spostrzegliśmy wielu znajomych.

Podczas sprawdzania danych personalnych kierujący akcją oficer żandarmerii zwrócił uwagę na włoski brzmienie panińskiego nazwiska mojej żony /Stando/. Mnie zapytał czy pochodzę z rodziny niemieckiej, na co odpowiedziałem, że nigdy o tym nie słyszałem, a na uwagę dotyczącą nazwiska wyjaśniłem, że - jak mówiono w rodzinie - wywodzi się ono ze Szwecji. W międzyczasie inny żandarm kazał żonie zdjąć z ręki otrzymany od matki zegarek.

Po godzinie oczekiwania na dalsze losy zostaliśmy niespodziewanie zwolnieni i odprowadzeni do domu. Zegarka żonie nie zwrócono i nie uważaliśmy za stosowne upominać się o niego.

Rodziny mego mojego współnika również nie wysiedlono.

Nazajutrz grupa wysiedlonych została przewieziona na dworzec kolejowy i załadowana do pociągu, który ruszył w kierunku Warszawy. Dowiedzieliśmy się, że oprócz nas kilka jeszcze osób zostało zwolnionych z punktu zbiorczego. Omawiając to pierwsze wysiedlenie ustaliliśmy, że objęło ono głównie część inteligencji, osoby znane i odgrywające przed wojną aktywną rolę w życiu miasta. Nasze zwolnienie tłumaczyliśmy przypuszczeniem /jak się później okazało słusznym/, że żandarmi przyszli w zasadzie po rodzinę Trzeciaków - wzięli nas, nie widząc możliwości zabrania chorej matki - a następnie nas zwolnili, nie znajdując nazwiska Kelm na liście.

Przy następnych wysiedleniach nie byliśmy niepokojeni. Przyczyniła się do tego zapewne okoliczność, że zmieniliśmy mieszkanie.

W marcu czy kwietniu 1940 r. wiele rodzin mieszkających w śródmieściu otrzymało od władz niemieckich polecenie przeniesienia się na peryferie miasta. Ponieważ zajmowaliśmy nowoczesne, duże mieszkanie przy reprezentacyjnej Alei Aleksandry Piłsudskiej /obecnie Aleja Wolności/ - nie czekając na nakaz przeprowadziliśmy się na ul. POW /obecnie ul. Dzierżyńskiego/ do domu p. Sztarka, ojca "Mocnego". Dom znajdował się prawie na krańcu miasta. Mieszkało tam już kilka znajomych polskich rodzin, w krótkim czasie przybyło kilka dalszych, wykwaterowanych ze śródmieścia, a gościnnie przyjętych przez p. Sztarkę. Towarzystwo było pewne, nie było nikogo, kto budziłby jakieś zastrzeżenia.

W dwupiętrowym domu z oficynami zamieszkiwali: stary p. Sztark z córką Marią /której mąż, płk. Węgrzyn, przebywał w niewoli/ i wnuczką; Emil Sztark /Mocny/ z żoną, córką, synem i kuzynkami; p. Stanisława Sztarkowa /której mąż, Edward, brat "Mocnego", oficer rezerwy, zginął w Katyniu/ z córką i synem; p. Maria Szolcowa, nauczycielka, prowadząca od początku okupacji komplety tajnego nauczania; inż. Terlecki z żoną; p. Dąbrowska z dziećmi; p. Helena Namysłowska z córką i synem; Henryk Skassa /"Stop"/ z żoną i dwiema córkami; p. Kondkowa z dwiema córkami i synem; p. Ziętek, nauczyciel, z żoną i dwiema córkami; siostra mgra farmacji Wł. Chrzanowskiego; kilka jeszcze rodzin, których nazwisk nie pamiętam.

Od czasu pierwszych aresztowań i wysiedleń zaczęło się dla nas, Polaków, życie w stałej niepewności losu. Każde głośniejsze zapukanie do drzwi, każdy odgłos kroków - zwłaszcza po godzinie policyjnej - budziło pytanie "może po nas?" ^{dużego} "może po mnie?".

Każde z nas miało przygotowaną torbę, rodzaj ^{dużego} chlebaka, z najpotrzebniejszymi przedmiotami, na wypadek nagłej i niespodziewanej po- "podróży".

Zaczeliśmy iść wąską ścieżką nad przepaścią; na szczęście nie przeczuwaliśmy, że będzie ona tak długa.

4. Upadek Francji

Rok 1940 niósł z sobą dalsze wysiedlenia, aresztowania, zsyłki do obozów koncentracyjnych, branki do przymusowych robót, szykany i ograniczenia w stosunku do Polaków, coraz dotkliwsze braki w zakresie aprowizacji, a potem i opału.

Wysiedlenia objęły wsie. Do Kalisza i jego okolic przybywały gromady cywilnych Niemców z Rzeszy oraz tzw. "baltendeutschów", "wolhyniendeutschów" i t.p., którzy przejmowali polskie i żydowskie placówki handlowe i przemysłowe w mieście oraz majątki ziemskie i gospodarstwa chłopskie.

Żydzi zostali zamknięci w getcie przy ul. POW /obecnie ul. Dzierżyńskiego/.

Nieależnie od wprowadzenia kartek żywnościowych /naturalnie innych dla nas niż dla Niemców/ wydano dla Polaków surowy zakaz wstępu do większości sklepów oraz wyznaczono godziny, w których mogli dokonywać zakupów w pozostałych sklepach i na targowiskach.

Pod tą falą germanizacji i terroru szeregi ZWZ rosły, mimo częstych udanych uderzeń wroga. Komunikaty z Paryża i Londynu /rozprowadzane z uwagi na bezpieczeństwo przeważnie ustnie, podtrzymywały na duchu. Tematem chwili był Narvik, tworzenie się armii polskiej we Francji, postać generała Sikorskiego.

Kryzys w nastrojach nastąpił po upadku Francji, o którym doniosło radio po południu 17 czerwca. Wiadomość uderzyła nas boleśnie, bo przekreśliła nadzieje na bliskie działania wyzwolenicze.

Staraliśmy się usilnie walczyć z pesymizmem i rezygnacją, które budziły się w środowisku polskim. Komentarze radia londyńskiego i akcja generała de Gaulle ułatwiały nam te starania.

W połowie 1940 r. zarysował się dość wyraźny obraz podziału na terenie Obwodu ugrupowań podziemnych nie związanych z ZWZ. Jedno z nich stanowiła część zawodowych podoficerów dawnych pułków kaliskich. Drugie - dobrze zorganizowana agenda NOW /Narodowej Organizacji Wojskowej/. Trzecie - ludowa "Chłostra". Poza tym pojawiali się emisariusze z poznańskiego, reprezentujący jakąś separatystyczną organizację wojskową, jak również przedstawiciele NSZ /Narodowych Sił Zbrojnych/.

Otrzymaliśmy rozkaz nie ujawniania się wobec człków tych ugrupowań w przypadku spotkania się z propozycjami werbunkowymi z ich strony. Ja z takimi propozycjami spotkałem się dwukrotnie /ze strony NOW/.

W tym czasie zetknąłem się ze st. sierżantem 25 p.a.l., Janem Ignorem /"Biczem"/. Wiedziałem, że wkrótce po klęsce wrześniowej znalazł się on w szeregach SZP. Obecnie szukał kontaktu z ZWZ na terenie Kalisza po "paleniu się" w Ostrowie Wlkp.. Za zgodą Komendanta Obwodu został włączony do grupy osób, z którymi miałem stałe powiązania. Był cennym informatorem o siłach, uzbrojeniu i ruchach wroga.

W pierwszych dniach lipca zostaliśmy powiadomieni, że Naczelny Wódz, generał Sikorski, powołał Komendę Główną ZWZ w Kraju i mianował pierwszym Komenkaniem generała "Grota".

5. V o l k s d e u t s c h e

Niezależnie od napływu Niemców z zewnątrz, rosły w Kaliszu szeregi tych, którzy przyjałowali propozycję okupanta - lub, niestety, samorzutnie domagali się - włączenia do narodu niemieckiego, t.j. volksdeutsche. Po upadku Francji ilość ich znacznie wzrosła. Ze smutkiem obserwowaliśmy, jak oprócz członków rodzin niemieckich - osiadłych od lat w Polsce lecz zawsze stanowiących odrębne i ekskluzywne środowisko - wielu rdzennych zdawałoby się Polaków gorączkowo poszukiwało przodków germańskich i czyniło usilne starania o wpisanie na "volkslistę".

Sprawa volksdeutsche była jednak nieco złożona, trzeba było do niej podchodzić z pełnym zrozumieniem sytuacji i intencji.

Bez względu na większość zasługiwała na potępienie i pogardę, gdyż zgłaszała akces do szeregów wroga rzadko do tego zmuszana, przeważnie powodowana perspektywą korzyści materialnych, wygod, przywilejów. Byli jednak inni, słabsi, którym instynkt samozachowawczy lub lęk o rodzinę kazał szukać oparcia w "volksliście" jedynie w celu zachowania dotychczasowej egzystencji, a brak energii życiowej czy też zdrowia i sił nie pozwalał na wyjazd do Generalnej Guberni. Ci mogli budzić współczucie.

Byli na koniec tacy, którzy na liście volksdeutsche znaleźli się w porozumieniu lub na rozkaz ZWZ. Organizacja potrzebowała bowiem ludzi zabezpieczonych przed wysiedleniami, łapankami i rewizjami, mogących poruszać się swobodnie, ułatwić penetrację środowiska niemieckiego. Do takich należeli m. inn.: inż. Jerzy Dreszer, kpt. Jan Beznar, Konrad Wünsche, członkowie rodzin Fibigerów, Fuldów.

Fotografie lub odpisy podań i załączników składanych przez kandydatów na volksdeutsche otrzymywaliśmy od "wtyczek" posiadanych w starostwie i magistracie. Kilkakrotnie asystowałem przy przeglądaniu takich dokumentów, to też z przyzwyczajeniem oka słuchałem opowiadań niektórych osób o srogim jakoby przymusie, w wyniku którego znalazły się na "volksliście".

Przymuszanie było napewno w niektórych przypadkach stosowane, ale kto nie chciał zaprzeć się polskości - miał wyjście z sytuacji: ucieczkę do Generalnej Guberni.

6. N a s i l e n i e t e r r o r u

Dobiegał końca rok 1940 - pełen przeżyć i wrażeń, które miały stale narastać, tworząc zasób wspomnień i uczuć bardzo żywych, szukających uzewnętrzenia i znajdujących je niekiedy w tak zdawałoby się obcej twardego życia tamtych dni - w wierszach.

Nie miały one walorów literackich, ale kilka z nich załączam do tych wspomnień jako pamiątki ściśle z nimi związane.

Gnębiła nas - młodych wówczas mężczyzn - bezsilność, niemożność walki z bronią w rękę, ograniczanie się do czynności wywiadowczych, informacyjnych i propagandowych, do starań aby jak największa ilość nas, Polaków, przetrwała na tym obszarze, który najeźdźca uznał za tereny odzyskane, na którym chciał jak najprędzej i najskuteczniej zatrzeć wszelkie ślady polskości.

Dzisiaj z perspektywy lat - widzę, że i nasza rola była potrzebna.

Koniec roku przyniósł naszej firmie wielką stratę: padła nam kasztanka. Kupno nowego konia wymagało wówczas znacznych zasobów gotówki, a takowych nie posiadaliśmy. Z wielkiego kłopotu wybawił nas p. Konrad Wunsche, właściciel majątków Opatówek i Winiary pod Kaliszem, oficer rezerwy, wyreklamowany przez rodzinę z oflagu, volksdeutsch związany z ZWZ. Wybrał dla nas silnego gniadosza ze swej stajni i nie chciał słyszeć o zapłacie.

Przetaczała się druga ciężka zima, zaczął się rok 1941. Dawało się odczuć znaczne nasilenie terroru. Nastąpiły liczne rewizje i aresztowania. Ofiarami padło wielu naszych żołnierzy.

6 marca aresztowano "Mocnego". Otrzymaliśmy rozkaz wyjątkowej czujności i ostrożności. Jednak żadna z osób powiązanych bezpośrednio z "Mocnym" nie została aresztowana. Okazało się, że nie wiedzieli kogo wzięli. Po kilku tygodniach uwięzienia i przesłuchiwań w Kaliszu "Mocny" wraz z grupą innych aresztowanych zostali wywiezieni do Oświęcimia. Komendantura Inspektoratu i Obwodu skupiła się w rękach "Sławka". Wobec odczuwanego na każdym kroku tropienia - uwaga nasza stawała się szczególnie wyostrożona. Ale funkcjonowanie poszczególnych komórek Organizacji nie zostało zahamowane.

Z Okręgu nadszedł rozkaz, aby bezwzględnie unikać wszelkich prowokacji, zewnętrznych przejawów działalności, czynnych wystąpień - wszystkiego, co mogłoby spowodować akcje odwetowe Niemców. Strat było już bardzo wiele, a chodziło przecież o to, aby nie pomniejszać naszych szeregów na germanizowanym szczególnie aktywnie obszarze Kraju.

Wiadomo nam było, że - niezależnie od zsyłek do obozów koncentracyjnych - Niemcy dokonywali w okolicach miasta doraźnych egzekucji aresztowanych, maskując potem mogiły. Publicznie rozstrzelany był na placu w pobliżu Placu Sw. Józefa proboszcz z Chocza.

Szczególne ostrożność była tym bardziej konieczna, że Komendantura posiadała informacje o coraz żywszej działalności na

terenie Kalisza licznych konfidentów. Zidentyfikowanie ich było trudne. Rekrutowali się spośród volksdeutschów, ale - niestety - i spośród Polaków. Rozpoznaniem ich zajęła się odpowiednia komórka i wielu zdemaskowała.

Ale ani Gestapo, ani żandarmeria, ani hilfspolizei, ani konfidenti - cały ten szeroko rozbudowany aparat terroru nie potrafili sparaliżować naszej pracy. Sprawnie działał wywiad i kontrwywiad, sprawnie funkcjonował nasłuch radiowy, stale rozprowadzane były aktualne wiadomości ze świata. Z prasy podziemnej puszczaliśmy w ograniczony obieg otrzymywane z Łodzi egzemplarze "Biuletynu Informacyjnego", "Insurekcji" i "Żołnierza Polskiego".

Należy podkreślić, że przy wykonywaniu swych zadań korzystaliśmy bardzo często z pomocy osób nie zaprzysiężonych, a więc de iure nie stojących z nami w szeregach ZWZ. Pomagały nam matki, żony, osoby starsze, dorastające dzieci - z pełną świadomością niebezpieczeństwa i z godną podziwu odwagą. I dziś - oceniając ich rolę - nie widzę faktycznej różnicy między nimi i nami, żołnierzami ZWZ, za których niejednokrotnie cierpiał i ginął.

7. "Kapitan Nemo"

W kwietniu 1941 r. przybył do Kalisza i otworzył hurtownie tytoniową przy ul. Kanonickiej Alfred Nowacki. Zaofiarowaliśmy nowej firmie usługi jako przewoźnicy i zyskaliśmy w niej stałego klienta. Przywoziliśmy z dworca kolejowego towar do hurtowni /drobnicę i przesyłki wagonowe/ oraz ekspediowaliśmy zleczone wysyłki.

Nazwisko właściciela firmy nie zdziwiło mnie, gdyż ponieważ wielu Niemców nosiło polskie lub z polskich wywodzące się nazwiska. Natomiast uderzyła mnie czysta polszczyzna w ustach tego człowieka i od pierwszej chwili wyczułem coś przyjaznego w jego spojrzeniu. Od osób spotykających się już z Nowackim /p. Ireny Zawadzkiej i p. Karola Gerlicza/ dowiedzieliśmy się, że przybył z Berlina, gdzie prowadził przedsiębiorstwo handlowe : że mieszkał kiedyś w Polsce, ale od wielu lat przebywał stale w Rzeszy i jest obywatelem niemieckim.

Wspomniałem o tym podczas spotkania Komendantowi, który zainteresował się bardzo osobą przybysza.

Na początku czerwca zostałem wezwany do punktu kontaktowego na Okręg, gdzie czekał już "Sławek". Powiedział mi, że Nowacki jest sygnalizowany jako człowiek związany z Komendą Główną ZWZ.

Obwód czekał na dyspozycje co do kontaktu z nim, a ja otrzymałem polecenie zwracania bacznej uwagi na wszystko co dotyczy Nowackiego, które to zadanie miały mi umożliwić prawie codzienne spotkania z nim w hurtowni - podczas których wdawał się z nami zwykle w rozmowę - oraz znajomość osób z jego otoczenia.

Tymczasem wielkie wydarzenia przesłoniły bieg lokalnych wypadków. Wybuch wojny niemiecko-radzieckiej wstrząsnął umysłami, wyraźniejszych kształtów nabrała wizja ostatecznej rozprawy z wrogiem, bijącym się na jeszcze jednym froncie. Przemarsze wojsk ożywiły miasto i naszą działalność.

Niemcy-cywile i volksdeutsche szukali wszelkich pretekstów, aby uchronić się przed poborem do wojska.

Dopiero w początku lipca otrzymałem rozkaz nawiązania kontaktu z Nowackim. Hasło i odzew były nietypowe: "Wyspa" i "Tarczyn". Rozmowa nasza odbyła się w pokoiku biurowym hurtowni, po jej zakończeniu, gdy upewniłem się, że jesteśmy sami. Spytałem Nowackiego, czy dostarcza mu towar jakaś "Wyspa". Odpowiedział z uśmiechem, że wyłącznie "Tarczyn". Uścisnęliśmy sobie ręce, wyraził zadowolenie, że nawiązał łączność z lokalną placówką Organizacji oraz życzenie, aby kontakty z nim były utrzymywane do pewnego czasu przez jedną tylko osobę najlepiej przeze mnie. Podał swój tymczasowy pseudonim: "Kapitan Nemo". Powiadomił mnie że zamierza wkrótce pozbyć się hurtowni tytoniowej i uruchomić fabrykę artykułów żywnościowych, na której otwarciu posiada już koncesję. Jeśli chodzi o jej lokalizację, to wybór jego padł na stary, nieczynny browar w Winiarach koło Kalisza, osadzie odległej o około 4 km od miasta. Taka lokalizacja fabryki - jak powiedział z zagadkowym uśmiechem - odpowiada z różnych względów jego planom.

Tak zaczęła się moja znajomość z człowiekiem, który okazał się jednostką nieprzeciętną, odważnym i pełnym poświęcenia żołnierzem Polski Podziemnej, patriotą oddanym całkowicie sprawie Polski i Polaków. Serdeczną przyjaźń jaką nas z biegiem czasu związała cenię w trwałej pamięci jako wyróżnienie i zaszczyt.

Czas płynął, studząc czerwcowe nadzieje. Błyskawiczny, zwycięski pochód armii niemieckiej na wschód, sukcesy na innych frontach i rozszerzanie okupacji na coraz to nowe terytoria - wszystko to zaczęło przygniatać umysły pytaniem "co dalej?". Nerwy stawały się napięte do ostateczności. Ze sztucznym uśmiechem rozpowszechnialiśmy improwizowane wiadomości o chwianiu się i toczeniu przez robaki niemieckiego kolosa - byle tylko sobie i innym dodać sił do trwania nadal pod przygniatającym, coraz

cięższym jarzmem niewoli.

Wczesną jesienią przyszła nowa fala aresztowań. "Sławek" był spalony, musiał opuścić Kalisz. Polecił pełne utajenie się ograniczenie do minimum kontaktów wzajemnych. Przez kanał na Okręg nadeszło polecenie zamelinowania poza Kaliszem członków Organizacji nie legitymujących się faktycznym zatrudnieniem lub choć raz inwigilowanych przez Gestapo oraz wszelkich dokumentów, jak również zredukowanie do niezbędnej ilości punktów nasłuchu radiowego.

W tym czasie do szeregu aktów dyskryminacyjnych wymierzonych przeciw Polakom dodano nowe: nakaz kłaniania się "przez Polki pochYLENIEM głowy, a przez Polaków zdjęciem nakrycia głowy" wszystkim Niemcom oraz... godłom niemieckim. Naturalnie stosowaliśmy wszystkie możliwe "uniki" aby nakazu nie przestrzegać, ale niekiedy nie było wyjścia i trzeba było znosić upokorzenie oddając "pokłon wyższej rasie" w celu uniknięcia co najmniej wybicia kilku zębów.

O tym jak reagowali na ten nakaz niektórzy Niemcy niech świadczy następujący fakt. Pewnej niedzieli, zimą, szedłem z matką wąskim chodnikiem łączącym park z ul. Łódzką. Nagle naprzeciw nas ukazała się grupka Niemców w mundurach. Nie było gdzie skręcić, aby uniknąć spotkania. Matka skłoniła głowę tak, jakby spojrzała w dół, ja uchyliłem kapelusza jakbym go poprawiał. Minęliśmy się. Nagle usłyszałem za nami zatrzymujące się kroki i słowa "Warten Sie". Odwróciłem się. Zaciśniętymi zębami i stanąłem przed matką, pewien że zauważyli nasze zdawkowe ukłony i odpowiednio zareagują. Zbliżyli się, zauważyłem dystynkcje wyższych oficerów wehrmachtu. Jeden z nich zasałutował i zadał pytanie po niemiecku - odpowiedziałem po polsku że nie rozumiem. Spytał po angielsku. Odpowiedziałem po francusku, że nie znam niemieckiego. Wtedy czystą francuszczyzną spytał, gdzie poznaliśmy się, bo nie może sobie przypomnieć. Odpowiedziałem, że nie znamy się, a my - Polacy - spełniamy jedynie obowiązek kłaniania się Niemcą. Musiałem dwukrotnie tłumaczyć, o co chodzi. Spojrzeli po sobie, zasałutowali, ten który zaczął rozmowę powiedział wyraźnie zmieszany: "to niesłychane, bardzo przepraszamy". Odeszli. "Verfluchte Schweine" usłyszałem za nami - i ten epitet na pewno nie był skierowany pod naszym adresem.

8. Koniec firmy "W.Kelm & Genossen"

Przez okres lata i wczesnej jesieni 1941 r. firma nasza prawie wyłącznie pracowała dla Nowackiego. Przewoziliśmy do Winiar - gdzie ruszyły roboty adaptacyjne - cement, cegłę i inne materiały budowlane.

W sierpniu urodził się syn mego współnika, Jacek, we wrześniu moja córka, Teresa-Maria. Przybyły dwie buzie do żywienia i to buzie wymagające takich artykułów, które dla Polaków były bardzo trudne do zdobycia.

W październiku nastąpił wstępny rozruch fabryki w Winiarach. Nowacki zaproponował nam zatrudnienie u siebie: mnie jako magazyniera, Łukomskiego jako dysponenta przewozów. W poufnej rozmowie ze mną wyjaśnił, że zależy mu na takim ułożeniu sytuacji z uwagi na dalsze zamierzenia, w których magazyny i transport będą miały duże znaczenie. W obu tych pionach potrzebni mu będą zaufani ludzie.

Po naradzie z Łukomskim propozycję przyjęliśmy. Z dniem 31 października firma "W.Kelm & Genossen" przestała istnieć, a od 1 listopada 1941 r. zostaliśmy pracownikami Fabryki Żywnościowej A. Nowackiego w Winiarach k. Kalisza. Nowacki kupił od nas platformę i konia. Nasz zaprzęg stał się - obok nowej 2,5-tonowej "Skody" - jednym z pierwszych środków transportu fabryki.

Jeździliśmy z Łukomskim do pracy i z pracy na rowerach, tak jak większość robotników. Gdy nadeszły mrozy i śniegi - dowoziła i odwoziła nas po kilkadziesiąt osób, "Skoda", kursując między Winiarami i punktem zbiorczym w Kaliszu.

W końcu listopada powrócił niespodzianie z obozu w Oświęcimiu "Mocny" - szkielec powleczonej szaro-żółtą skórą. Wrażenie było nie do opisania.

Okazało się że do obozu nadszedł transport kilku tysięcy jeńców radzieckich, których nie było gdzie pomieścić. Aby uzyskać dla nich miejsce część dotychczasowych więźniów przeniesiono grupami do innych obozów, a część - do której szczęśliwie trafił "Mocny" - zwolniono do dyspozycji Gestapo w miejscu zamieszkania. "Mocny", po bardzo krótkim pobycie w domu, został skierowany na przymusowe roboty do Wrocławia. Bardzo rzadko pozwalano mu odwiedzać rodzinę w Kaliszu. Pracował pod stałym nadzorem. Naturalnie kontakty - z uwagi na jego bezpieczeństwo - mieliśmy bardzo ograniczone.

Razem z "Mocnym" znalazł się na przymusowych robotach we Wrocławiu p. Aleksander Ulrych /Pan U"/, o którym wiedzałem,

że był związany z naszą Organizacją od początku jej istnienia, ale z którym bezpośrednich kontaktów konspiracyjnych nie miałem.

Nadeszła zima, Niemcy zaczęli plądrować mieszkania, rekwirując futra ^{i skóry} dla wojska na froncie wschodnim. Naturalnie robiło się co było można aby te rzeczy melinować i nie przychodzić się do chronienia "zwycięzców" przed rosyjską zimą.

Podczas rewizji przeprowadzonej w tym czasie w naszym mieszkaniu pojawił się sam major Krauze, szef kaliskiej żandarmerii. Wypytywał mnie gdzie pracuję, kto mieszka w sąsiedztwie i t.p. Przed opuszczeniem mieszkania zwrócił uwagę na obraz "Burza na morzu", który wisiał w pokoju matki. Zapytał kto go malował. Matka nieopatrznie powiedziała prawdę: Ajwazowski. Major kazał żandarmowi zdjąć obraz ze ściany i zabrał go bez komentarzy. Obraz przedstawiał rozszalałe fale, bijące o wysokie, potężne skały. Pomyślałem sobie, że skały wytrzymają furie bałwanów.

Rok 1941 zakończył się wydarzeniem, które ożywiło nasz optymizm i znów przybliżyło wizję wolności: Stany Zjednoczone - po zbombardowaniu przez Japończyków Pearl Harbor - przystąpiły do wojny. Pierwszą wiadomość o tym dał nam Nowacki bezpośrednio po wysłuchaniu londyńskiego komunikatu radiowego.

9. Nowy Komendant Obwodu.

W początkach 1942 r. widzieliśmy się tylko kilka razy ze "Sławkiem", który dorywczo i z wielką ostrożnością zaglądał do Kalisza. Uprzedził, że wkrótce otrzyma inny przydział, a do Obwodu Kaliskiego zostanie wyznaczony nowy komendant. Ostatnim rozkazem jakim od niego otrzymałem było zorganizowanie - w ramach Obwodu - placówki w Winiarach oraz jak najściślejsze współdziałanie z Nowackim. Udzielił mi też upoważnienia do zaprzysięgania nowych członków Organizacji. Potem ~~zniknął~~ zniknął, słyszałem różne pogłoski o jego losach, m. inn. mówiono, że został schwytyany przy przekraczaniu granicy do Generalnej Guberni. Dopiero w wiele lat po wojnie dowiedziałem się, że "Sławek" został w 1942 r. przeniesiony do Warszawy, gdzie był szefem kurierów na Bałkany i gdzie został przez Niemców zamordowany.

Fabryka w Winiarach rozwijała się bardzo szybko. Obok produkcji sup i kisielów w proszku uruchomiona została wkrótce produkcja suszonych jarzyn i owoców, a następnie korzennych przypraw ^{do} sup.

Nawpół zrujnowana willa obok fabryki została wyremontowana i Nowacki zamieszkał w niej z żoną, Hanną, która przybyła z Berlina. Od tej pory większość narad i rozmów z Szefem odbywała się w tej willi, w jego ulubionym pokoju z widokiem na ogród. Wzywany - przybywałem z księgami lub kartotekami i nasze spotkania były tak zorganizowane, że w każdej chwili mogliśmy udawać kontynuowanie rozmowy na temat magazynów.

Fabryka rozwijała się w samą porę. W Kaliszu zastrzeżono rygory dotyczące zatrudnienia. Wysyłką do przymusowych robót zostały zagrożone wszystkie osoby narodowości polskiej począwszy od kilkunastu lat życia, nie zatrudnione za pośrednictwem "Arbeitsamtu".

Winiary stały się ucieczką zagrożonych. Nowacki ponad rzeczywiste potrzeby zwiększał zatrudnienie. Cała masa dorastającej młodzieży kaliskiej znalazła u niego pracę dobrze płatną, nie wyczerpującą, wykonywaną w korzystnych warunkach. Zorganizowana została stołówka /prowadziła ją nieszkodliwa volksdeutsch, p. Jadwiga Priebe/, gdzie robotnicy mogli kupować tanie, posilne obiady.

Naturalnie przyjęcia do pracy odbywały się "przez sito". Staraliśmy się, aby nie przeniknęły do Winiar elementy niepewne, podejrzane oraz ludzie mający już zabezpieczone zatrudnienie w Kaliszu.

Trzeba było zabezpieczyć również najbliższych. Moją matkę i teściową chronił wiek, żonę małe dziecko, natomiast 12-ty rok życia kończyła moja siostra. Znaleźliśmy dla niej zatrudnienie w sklepie galanteryjnym volksdeutscha Rymarowicza, gdzie pracowała do końca okupacji.

W końcu lutego nadeszła z Okręgu wiadomość, że rozkazem Naczelnego Wodza z dnia 14 lutego 1942 r. Związek Walki Zbrojnej został przemianowany na Armię Krajową /kryptonim ZSK - Siły Zbrojne w Kraju/, stanowiącą integralną część Armii Polskiej w ramach sił zbrojnych państw sprzymierzonych i korzystającą z pełni praw armii alianckich.

Po zniknięciu "Sławka" sytuacja w Kaliszu stawała się coraz trudniejsza, jednak funkcjonowanie poszczególnych pionów Organizacji nie zawodziło. Monitorowaliśmy Okręg o przysłanie nowego komendanta, jednak nijał marzec, kwiecień, maj - i nikt nie przybywał. Powoli rozwiązywanie ważniejszych problemów zaczęło się koncentrować w rękach Nowackiego, którego rozum, doświadczenie i zdolności organizacyjne - nie mówiąc o sposobie bycia - zjednywały mu zaufanie i sympatię.

W kwietniu tego roku zgłosiłem przez kanał na Okręg do zarejestrowania Placówkę Winiary /kryptonim "Podlasie"/ w ramach Obwodu Kaliskiego, po uprzednim omówieniu z Nowackim programu naszego działania.

Coraz dotkliwszy stawał się brak komendanta Obwodu. Nowacki zamierzał już osobiście wybrać się w tej sprawie do Łodzi, kiedy któregoś dnia pod koniec maja Okręg powiadomił że wyznaczony nowy komendant zgłosi się w określonym dniu na punkt kontaktowy, który należy odwrotnie podać. Jako punkt wyznaczono moje mieszkanie, w którym polecono mi przyjąć komendanta o pseudonimie "Leski" i skontaktować go z inż. J. Dreszorem, H. Skassą i Nowackim. Spotkanie wyznaczone było na popołudnie.

Punktualnie ó określonej godzinie zjawił się młody człowiek o miłej powierzchowności. Postawa i ruchy świadczyły, że był żołnierzem. Wymienił hasło, ja odzew. Przedstawiliśmy się sobie; "Leski" - "Cyklop". Opowiedział w kilku słowach o sobie o wrześniu, uniknięciu niewoli i spytał o sytuację w Kaliszu. Poinformowałem go w skrócie o ostatnich falach aresztowań, o przedsięwziętych środkach ostrożności, wyraziłem zadowolenie że kończy się okres "bezkrólewia". Wyraził życzenie, abyśmy nazajutrz spotkali się w większym gronie. Ustaliliśmy godzinę i to samo miejsce. Kiedy poruszyłem sprawę zakwaterowania, "Leski" oświadczył, że ma już tymczasowe lokum i pożegnał się.

Nazajutrz rano - zanim zdążyłem powiadomić zainteresowanych o odbytym i planowanym spotkaniu - otrzymałem z kanału na Okręg ostrzeżenie, że człowiek podający się za "Leskiego" jest prawdopodobnie podstawiony przez Gestapo.

Przyznaję, że zdrętwiałem. Szybko odtworzyłem w pamięci rozmowę z nim i uspokoiłem się o tyle, że w jej wyniku nie posiadał żadnych informacji o nikim z Organizacji. Kontaktów od widzenia się z nim też z nikim nie miałem. Zatem tylko ja jestem spalony, a moi najbliżsi narażeni na najgorsze.

Natychmiast poszedłem do Nowackiego, który ocenił moją sytuację jako fatalną. Posłał auto po "Stopa", który wkrótce przy był i we trzech ułożyliśmy - trochę gorączkowo- plan działania.

Nowacki nakreślił sposób mojej ewentualnej ucieczki, zapewnił, że zajmie się moją rodziną, podał mi łódzkie i warszawskie adresy, wręczył pieniądze i załadowany pistolet.

Miałem o określonej godzinie czekać w domu na "Leskiego" i sprowokować go informacją o odłożeniu zebrania, nie ukrywając nieufności. Jeśli istotnie jest podstawiony przez Gestapo -- to

albo nie pozostawi nam czasu do działania i zdemaskuje się odrazu, albo przeczai się. W pierwszym przypadku miałem go sterroryzować i wyprowadzić z domu do auta, w którym oczekiwałem na pobliskiej przecznicy Nowacki. Dalszy plan przewidywał likwidację bez śladu. Jeżeli opuściłby moje mieszkanie nie demaskując się - nieli się nim zająć koledzy z kontrwywiadu, którzy pilnowali domu.

Przyszedł punktualnie. Byliśmy w mieszkaniu sami. Oświadczyłem, że spotkanie w szerszym gronie polecono mi odłożyć na kilka dni, nie podając przyczyny. O dokładnym terminie i miejscu dam mu znać, w związku z czym proszę o adres. Trzymając lewą rękę w kieszeni marynarki, ścisnąłem zarepetowany pistolet. Był zdziwiony, odpowiedział, że nie może podać adresu, bo obecny nazajutrz zmieni, a po wiadomość o terminie następnego spotkania zgłosi się do mnie za trzy dni o tej samej porze.

Odprowadziłem go na ulicę. Spostrzegłem w pewnej odległości "Stopa", który skinął mi lekko głową, co znaczyło, że "Leski" był bez obstawy.

Niezwłocznie odbyliśmy z Nowackim naradę co dalej robić. Kanał na Okręg powinien lada dzień otrzymać wyjaśnienie. Do tego czasu - jeśli to robota Gestapo - albo mnie wezmą, albo przeczają się żeby doczekać spotkania w liczniejszej grupie i mieć od razu obfity połów. Istniała też możliwość uniknięcia ryzyka, ale uciekać ze względu na rodzinę nie chciałem.

Dni mijały, a wyjaśnienie nie nadchodziło. "Leski" też się u mnie nie pokazał. Trudno opisać stan, w jakim się wtedy znajdowałem. Kontrwywiad po kilku dniach stracił "Leskiego" z pola widzenia, nie stwierdziwszy jego kontaktów z Niemcami.

W pierwszej połowie czerwca awizowany został przez Okręg i przybył z nominacją na komendanta Obwodu "Adam"/por. Wacław Ostrowski/. Autentyczność jego została sprawdzona ze szczególną dokładnością. Nic nie wiedział o "Leskim", którego postać pozostała dla mnie do końca nie wyjaśniona.

"Adam" /zastępczy pseudonim "Tomasz"/ został już przed przybyciem do Kalisza powiadomiony o roli Nowackiego. Wkrótce po objęciu funkcji i włączeniu się w pracę poszczególnych planów spotkał się z nim w Winiarach. Po długiej ich rozmowie wezwany i "Adam" oświadczył, że włącza mnie do swojego sztabu. Polecił kontynuowanie organizowania placówki "Podlasie" i współpracę z Nowackim w ramach jego specjalnych zadań.

Po kilku dniach Szef wezwał mnie z magazynu w sprawie opakowań. Stawiłem się w willi z odpowiednimi dokumentami. Nowac-

Nowacki uśmiechnął się i zaczął przerzucać papiery. Po chwili zajechał "Opel" i wysiadł z niego "Adam". Wkrótce przybyli "Stop" i "Motor".

"Adam" powiadomił nas, że Alfred Nowacki - związany z Organizacją od początku okupacji - nie składał dotychczas przysięgi w brzmieniu zatwierzonym przez Naczelnego Wodza i życzy sobie, aby dopełnienie tego aktu odbyło się w naszej obecności. Wstaaliśmy, "Adam" wyjął krzyżyk i zabrzmiały uroczystie przez "Kapitana Nemo" powtarzane słowa: "W obliczu Boga Wszechmogącego...".

Uścisnęliśmy serdecznie rękę Nowackiego. Spojrzał na nas czterech z tym swoim osobliwym uśmiechem w oczach i powiedział, że - jako gospodarz - jest między nami piąty, a rzymska piątka jest symbolem zwycięstwa; przyjmuje więc pseudonim "Piąty". Napełnił winem kielichy i wznosił toast za zwycięstwo i wolność.

10. " P o d l a s i e "

Stosunki moje z Szefem zacieśniały się w miarę współpracy przy organizowaniu placówki "Podlasie". Miała ona być węzłowym punktem działania dla komendantury Obwodu, ukrytym za parawanem osoby Nowackiego, o którego powiązaniach z wysokimi sferami Berlina niemieckie władze w Kaliszu zostały w odpowiedni sposób poinformowane. Fabryka - w miarę dalszego rozwoju - miała być szerokim polem zatrudnienia dla Polaków, w których dużej liczbie można było z łatwością sformować nasze oddziały wojskowe. Trzeba zaznaczyć, że Nowacki wyrobił dla fabryki przywilej przedsiębiorstwa produkującego artykuły żywnościowe dla potrzeb wojska, co eliminowało zbytnią interwencję "Arbeitsamtu" w sprawie zatrudnienia robotników.

Dochody oraz towary w magazynach fabrycznych pozwalały Nowackiemu na udzielanie pomocy rodzinom polskim znajdującym się w krytycznej sytuacji: chorym, wdowom z dziećmi, rodzinom więźniów.

Paczki - zawierające mąkę, cukier, kaszę manną i tłuszcze - przekazywane były za pośrednictwem kilku punktów w Kaliszu. Z fabryki wywożone były, po zaopatrzeniu w fikcyjne nalepki nadawcze, razem z przesyłkami faktycznymi.

Zwartość tych paczek powodowała ubytek stanu towarów w magazynach i musiałem używać przeróżnych sztuczek, aby nikt - a przedewszystkim ^{szowiny} księgowy - nie zorientował się w sytuacji.

Niezależnie od artykułów żywnościowych potrzebujący otrzymywali zasiłki pieniężne.

Na tę formę pomocy Szef przeznaczył miesięcznie - o ile pamiętam - 6.000 marek.

Nie tylko sytuacja aprowizacyjna Polaków stawała się coraz gorsza; Niemcy, zwłaszcza cywilni, zaczęli również odczuwać braki w tym zakresie.

Paczki żywnościowe pozwalały Nowackiemu na ugruntowywanie kontaktów, jakie uważał za celowe, nawiązać z niektórymi Niemcami w Kaliszu. Miałem zawsze w zapasie paczki i paczuszki o ustalonym asortymencie; z wyrobami fabrycznymi - z dodatkiem mąki, cukru lub tłuszczu - oraz "luksusowe", zawierające ponadto wódkę i papierosy, które Szef przywoził z Berlina.

Któregoś dnia Nowacki z zadowoleniem powiadomił mnie, że ma już przekupionych; funkcjonariusza z Gestapo i wyższego urzędnika w "Arbeitsamcie", którzy będą sygnalizowali o tym, co się dzieje w tych jaskiniach. Niejednokrotnie w przyszłości "wtyczki" te - które przetrwały do tragicznego finału "Podlasia" - uchroniły przed wieloma niespodziankami i trudnościami. Nie pamiętam ich nazwisk; w Gestapo był to jakiś M.../krótkie nazwisko/, a w "Arbeitsamcie" zastępca kierownika tego urzędu.

Naturalnie "wtyczki" były przekonane, że pracują dla dbającego o bezpieczeństwo Trzeciej Rzeszy, wysoko ustosunkowanego reichsdeutscha, działającego w ramach systemu wzajemnego kontrolowania się.

Niemców na terenie fabryki zatrudnionych było niewiele; SS-man Kurt Lafeld płatał się wszędzie, pokrzykiwał dla dodania sobie godności i właściwie nie miał funkcji ściśle określonej.

- Główny księgowy Karl Lemmer oschły, zimny typ, nigdy nie wdawał się w rozmowę z Polakami poza koniecznością.

- Walter Kleppach nadzorował magazyny i transport, bardzo komunikatywny, nienawidził hitlerowców.

- Hans Kolbinger, typowy komiwojażer-kosmopolita, załatwiał sprawy zaopatrzenia, reklamy i zbytu.

- ... Jentsch, kulturalny Europejczyk, nadzorował całokształt działalności fabryki /w istocie nic nie robił, bo ster firmy trzymał sam Nowacki/.

- Dwie młode antypatyczne pomocnice głównego księgowego, jedna Gruber, drugiej nazwiska nie pamiętam.

- Podstarzały tępak, snujący się po działach produkcyjnych i stary urzędujący w portierni przy bramie wjazdowej - których nazwisk nie pamiętam.

- Kierowniczką stołówki była Jadwiga Friebe, volkseutsch.

Pracownicy-Niemcy ulokowali się stopniowo w Winiarach, osadzie składającej się z kilkudziesięciu domków, położonych w ciasnym opłotkach między fabryką i lasem, przytykającej do majątku o tej samej nazwie. Zajmowali całe domki lub ich części, w zależności od stanu rodzinnego. Trzymali się kurczowo Nowackiego w obawie przed włączeniem do armii lub służb pomocniczych.

Laboratorium fabryczne prowadzone było przez inżynierów: Karola Gerlicza i jego brata Witolda.

Majstrami nadzorującymi produkcję poszczególnych działów oraz warsztaty - byli Polacy.

Szef w obecności pracowników-Niemców /z wyjątkiem Jentscha, Kolbingera i Klappacha/ rozmawiał z nami po niemiecku. Przy pomocy podręcznika-samouka poznałem ten język o tyle, że od biedy mogłem się nim posługiwać, a zwłaszcza rozumieć co do mnie mówią.

Konieczność coraz częstszych kontaktów moich z Nowackim wymagała stworzenia pozorów dla patrzących na nas Niemców. Szef często wzywał mnie lub kogoś z innych "wtajemniczonych" gdy byli u niego Lafeld, Lemmer, Jentsch, Kolbinger lub Klappach, zapytywał o jakąś sprawę bieżącą, słuchał wyjaśnień, a potem rozwijał ogólną rozmowę i wyciągał kieliszki. Również po każdej prawie naszej rozmowie w cztery oczy wzywał pod jakimś pretekstem kogoś z Niemców i włączał go do dyskusji nad konkretną sprawą, którą jakoby właśnie omawiał ze mną.

Wyjaśnił mi że wpoił w swoich "ziomków" zrozumienie konieczności ujmowania sobie Polaków zwłaszcza inteligentniejszych i znających środowisko fabryczne, bo umożliwia to - w życzliwej, czasami "zakropionej" atmosferze - orientacje w nastrojach pozwala na uzyskanie szczerych opinii o pracy i postawach ludzi i daje szansę wykrycie zjawisk niepożądanych lub wręcz groźnych.

Jeśli chodzi o alkohol to trzeba przyznać, że piliśmy często. Wódka stwarzała choć na krótko nastrój pozwalający oderwać się od rzeczywistości, najeżonej troskami, niebezpieczeństwami, niepewnością jutra, dodawała optymizmu w jakże częstych chwilach skrajnego wyczerpania nerwowego. Naturalnie nie wykraczaliśmy poza granice nakreślone względami bezpieczeństwa i możliwości samokontroli.

Rozwijająca się szybko produkcja /która spowodowała stopniowe wprowadzenie pracy na trzy zmiany/ wymagała coraz większych ilości surowców i opakowań oraz miejsca na składowanie gotowych wyrobów. Latem 1942 r. został uruchomiony magazyn obok

dworca kolejowego: duże pomieszczenie, przy którym znajdował mieszkanek magazynier, Józef Zdyb z żoną. Mieściły się tam zapasy mąki, a potem przygotowane do ekspedycji suszone jarzyny w workach.

Uruchamianie magazynów następowało planowo, staraliśmy się łączyć piękne z pożytecznym; lokalizowaliśmy je w miejscach korzystnych dla fabryki, ale jednocześnie przydatnych dla Organizacji bieżąco i na przyszłość.

W tym czasie Nowacki dowiedział się, że wojsko ma zająć na magazyny kościół św. Mikołaja przy ul. Kaonickiej. Zdążył przez swe znajomości ubiec przydział i wkrótce uruchomiliśmy tam swoje magazyny. Było to posunięcie podwójnie korzystne: zabezpieczało kościół przed gospodarkiem w nim Niemców i oddawało do naszej dyspozycji ważny punkt strategiczny. Mieliśmy klucze od trzech wejść do kościoła, który stał się miejscem ważniejszych spotkań /odciążając Winiary/, zwłaszcza z osobami nie mającymi pojęcia o roli Nowackiego, a z czasem schowkiem dokumentów i broni.

Trzeci, mały magazyn został uruchomiony przy zbiegu ulic Garcarskiej i Stawiszynskiej, w pobliżu posterunku żandarmerii. Połączony był z mieszkanek, które zajął magazynier, Józef Kamierniczak z rodziną. W tym magazynie był punkt kontaktowy "Adama

11. W i e l k a g r a

W połowie 1942 r., po jednym z krótkich wyjazdów do Berlina, Nowacki udał się na kilka dni do Łodzi i Warszawy. Gdy powrócił wezwał mnie na dłuższą rozmowę. Zostałem wtedy wprowadzony w krąg jego wielkiej gry.

Piliśmy koniak - zaczął opowiadać. +/

Urodził się 13 października 1896 r. w Poznaniu, w rodzinie polskiej. Wkrótce rodzice jego przenieśli się do Łodzi, gdzie przyszło na świat rodzeństwo: w 1900 r. brat Stefan, w 1902 r. drugi brat Teodor i w 1904 r. siostra Helena.

W 1914 r. Alfred powołany został do wojska niemieckiego, gdy z racji urodzenia w b. Wielkim Księstwie Poznańskim traktowany był jako obywatel niemiecki.

Po wojnie rozproszona po świecie rodzina powróciła do Łodzi.

+/ Zarys życiorysu Alfreda Nowickiego zamieszczam po uzgodnieniu z mieszkającą w Warszawie p. Izabellą Nowacką, wdową po zamordowanym bracie jego, Stefanie.

gdzie Alfred uruchomił fabrykę ślepych naboí /przy ul. Sienkiewicza/, której dyrektorem został jego brat Stefan.

W 1923 r. ożenił się z mieszkanką Łodzi, Hanną Weigelt.

Na przełomie lat 1929-1930 ciotka jego, Polka osiadła w Niemczech od czasów wojny, zaproponowała mu uruchomienie dużego przedsiębiorstwa w Berlinie. Przeniósł się tam wraz z żoną i rozwinął na dużą skalę palarnie kawy.

W 1933 r., zamieszany w którąś z akcji przeciw Hitlerowi, został aresztowany i uwięziony. Żona dokładała wszelkich starań aby go uwolnić, co udało się po jej po długich staraniach, dostarceniu do Goeringa i spowodowaniu jego osobistej interwencji. Stąd w kołach berlińskich, w których się obracali, powstała wersja o pokrewieństwie Hanny Nowackiej z rodziną feldmarszałka.

Alfred często odwiedzał braci, którzy w międzyczasie przenieśli się z Łodzi do Stolicy i uruchomili w Tarczynie pod Warszawą fabrykę galanterii drzewnej "Komar".

W październiku 1939 r. Alfred odwiedził braci i ponawiał wizyty w Warszawie co kilka tygodni. Stefan i Teodor od początku istnienia Związku Walki Zbrojnej byli w jej szeregach. Alfred dostarczał im z Berlina materiały sztabowe, które przekazywali Komendzie Głównej. Wkrótce Alfred zetknął się z Władzami ZWZ i dostarczał im bezpośrednio cenne dane, zdobywane dzięki szerokim znajomościom w wyższych sferach Berlina i bliskim stosunkom z dwiema osobami zatrudnionymi w Kancelarii Rzeszy.

Bracia jego - za parawanem wytwórni galanterii drzewnej - produkowali w Tarczynie drobny sprzęt dla potrzeb Organizacji /zapalniki do granatów, koleczki do przebijania opon i t.p.

Pragnąc włączyć się czynnie na terenie Kraju do podziemnego frontu walki z Niemcami, Alfred zlikwidował przedsiębiorstwo w Rzeszy i przeniósł się do Kalisza, wybierając ten punkt jako dogodnie położony na linii Warszawa - Łódź - Poznań - Berlin, która była odcinkiem jego działalności w akcji "Lombard".

Zamieszkanie w obrębie Warthegau umożliwiało uruchomienie fabryki żywnościowej, której lokalizacja otrzymana koncesja przewidywała tylko na ziemiach włączonych do Rzeszy, a która była niezbędnym źródłem zarobków i mogła się stać ośrodkiem dogodnym dla działalności konspiracyjnej.

Dotychczas zamiary swoje z powodzeniem realizował. Jednak - co uzgodnił ze swymi mocodawcami - ze względu na nieprzewidziane wypadki /śmierć, wyspę, ciężką chorobę/ musi mieć kogoś

wprowadzonego w tok akcji do tego stopnia, żeby w potrzebie powiązać ognowa zamiast niego. Po porozumieniu się z "Adamem" postanowił wyznaczyć do tej funkcji mnie, o czym powiadomił już właściwe krańcowe punkty.

Zdobywane ostataio i przekazywane Komendzie Głównej wiadomości dotyczyły między innymi sprawy niezwyklej wagi, mianowicie nowej broni V, rozmieszczenia punktów produkujących elementy oraz baz montażowych i planowanych wyrzutni.

"Nowacki" podał mi hasło "Vertrauen" z którym mógł przybyć łącznik z Berlina i odzew "Victoria" - oraz adres, hasło "Lombard" i odzew na "Londyn" na Łódź, skąd łączność szła dalej do Warszawy.

Meldunki były przeważnie szyfrowane na wycinkach mapy samochodowej Europy lub zestawami znaczków pocztowych w albumach i klaserach /najczęściej widywałem znaczki starych Niemiec i polskie/. Mikrofilmy ukryte bywały w nabożkach pitoletów, paskach do zegarków, puderniczkach, okularach i t.p.

Kilkakrotnie poznałem u Nowackiego łączników z Berlina /pamiętam trzech mężczyzn i dwie kobiety/ przywożących meldunki i przesyłki, które potem Szef odwoził do Łódki, a w szczególnie ważnych okolicznościach bezpośrednio do Warszawy. Materiały te - po odjeździe łączników do chwili wyjazdu Nowackiego - były często ukryte u mnie.

W tym czasie Szef zaproponował mi przeniesienie się do Winiar. Pracy w magazynach poświęcałem długie godziny, poza tym koncentrując się ostataio w willi Nowackiego sprawy wymagały coraz częstszych moich z nim kontaktów w różnych porach dnia. "Adam" popierał tę propozycję.

Przeprowadziłem się z Kalisza w sierpniu, zamieszkałem z żoną i córeczką w drewnianym domku, składającym się z pokoju, kuchenki i małego przedpokoju, z którego było wyjście na strych. Miał zamiar zamieszkać w nim Klappach, trzeba więc było szybko uprzedzić go i obsadzić dogodny dla nas punkt, bowiem domek położony był tuż przy fabryce, z widokiem na całe przedpole i szosę, blisko willi Szefa. Nowacki kazał u mnie zainstalować jeden z aparatów wewnętrznej sieci telefonicznej, obejmującej działły fabryki, willę i mieszkanie pracowników w domkach winiarskich.

Było to w pełni zrozumiałe ze względu na moją funkcję głównego magazyniera, a dla naszych celów bardzo ważne.

Nowacki ustalił ze mną wówczas, że w razie niebezpieczeństwa zadzwoni do mnie używając języka niemieckiego w ustalonym układzie wyrazów; wezwanie do stawienia się u niego miało oznaczać, abym bocznym wejściem /przez drzwiczki w ogrodzeniu, do których miałem klucz/ przyszedł do willi z pistoletem. Wezwanie nie z dodatkami słów "aber sofort" miało oznaczać nagłe niebezpieczeństwo i konieczność natychmiastowej ucieczki.

Nie przypuszczałem słuchając go, że takiemu telefonowi będę kiedyś zawdzięczał wolność, a pewnie i życie.

W październiku 1942 r. łączniczką sztabu Komendanta Obwodu została córka "Stopa", Krystyna Skassa, "Ewa" /obecnie p. Żarnowska, zamieszkała w Krakowie/ i za jej pośrednictwem utrzymywaliśmy od tej pory kontakty z "Adamem".

Późną jesienią, po dłuższym pobycie w Berlinie, zatelefonowałem po mnie Nowacki któregoś wieczora. Zasuwał rolety, zamknął drzwi na klucz i pokazał mi broń, którą przywiózł w skrzynce z winem; dwa pistolety VIS i dwa FN 7,65 z zapasowymi magazynkami i sporą ilością naboju. Na stoliku oczekiwały pełne kieliszki węgierskiego wina. Uruchomił samoczynnie zmieniający płyty gramofon, który zwykle maskował nasze rozmowy i słuchanie radia. "Za początek naszego uzbrojenia i za przyjaźń", wzniósł toast. Potem powtórnie napełnił kieliszki i wypił ze mną "bruderschaft".

Zaczynała się realizacja jednego z punktów naszego programu, który przewidywał odpowiednie uzbrojenie "Podlasia". Pierwsze cztery pistolety miały być zarodkiem "arsenału", w którym przewidywane były: 2 ckm, 4 lkm, 4 rkm, 20 MP, 50 pistoletów i naturalnie odpowiednia ilość taśm, magazynków i naboju.

Mieliśmy na terenie Winiar cztery skrytki: jedną w willi, drugą w fabryce w noim pokoju głównego magazyniera, trzecią w zamieszkiwanym przezemnie domku na strychu, czwartą w pawilonie w lesie.

Tego wieczora Alfred wręczył mi dwa pistolety /VIS i FN/ z zapasowymi magazynkami. Jednego kryłem w domu, drugi w pokoju w fabryce.

Do końca roku "arsenał" zwiększył się o kilka pistoletów, jedną /niespodziewanie/ pepeszę z zapasowym bębniem, kilkadziesiąt magazynków i kilkaset naboju. W ciągu kilku następnych miesięcy zaplanowane były dalsze dostawy.

Nie wszystkie partie przywoził Nowacki. Nowa broń zjawiała się również po wizytach znajomych z Berlina; raz był to wyższego stopnia oficer wehrmachtu, innym razem elegancka, nobliwa dama.

Przez cały rok 1942 nadchodziły z Łodzi wiadomości o "wypach" niszczących tam nasze szeregi. Odbijało się to niekorzystnie na pracy w Obwodzie, gdyż każdy wstrząs na terenie Okręgu powodował i u nas wzmożoną aktywność Gestapo i Żandarmerii.

"Adam" bywał w Winiarach często - spotykaliśmy się w willi Alfreda lub w moim mieszkaniu. Przeważnie towarzyszył nam "Sto" którego wizyty w Winiarach nie mogły budzić podejrzeń, ponieważ miał umowę na stały dozór kotłów fabrycznych.

Ja byłem bardzo zaabsorbowany: pracą w fabryce, sprawami "Podlasia" oraz wyjazdami do Kalisza - bądź to w sprawach magazynów, bądź w celu komunikowania się z "Biczem" i punktami nasłuchu radiowego, bądź też aby odwiedzać matkę i siostrę oraz rodzinę żony.

12. Krzyże i chmury

Rok 1943 zaczął się pod znakiem optymistycznych wiadomości: niepowodzeniach niemieckich na froncie wschodnim oraz rozwijającym się ruchu partyzanckim we Francji, Grecji, Jugosławii i ZSRR. Wkrótce miał nas zelektryzować komunikat o rozbiciu armii niemieckiej pod Stalingradem.

W Obwodzie zorganizowano doszkalanie wojskowe, obejmujące tematycznie m. inn. nowoczesne uzbrojenie, łączność, taktykę, charakterystykę armii sprzymierzonych. Ja dodatkowo musiałem w przyspieszonym tempie opanować cały szereg materiałów, aby uzupełnić luki w zakresie podstawowej wiedzy żołnierza. Szkolenie było teoretyczne, o ćwiczeniach w terenie nie było mowy w naszych warunkach. Teksty i plansze kursowały obiegami.

Niemcy zorganizowali kurs sanitariuszek, na który mogły uczęszczać również Polki. Zachęcaliśmy do jego ukończenia nasze młode "wtajemniczone" w celu uzupełnienia kadry sanitarne; której obsada lekarska była w zasadzie ustalona.

Kurs taki ukończyła m. inn. siostra mojej żony, Janina Staro, która od lutego 1941 r. pracowała w Kaliszu w firmie Scheerschmidt & Koch. Firma ta od dawna zwracała naszą uwagę. Było to przedstawicielstwo "Opla", obejmujące sklep z akcesoriami samochodowymi i motocyklowymi oraz warsztat obsługi pojazdów. Firma załatwiała przede wszystkim klientów wojskowych. Przewijało się tam stale wielu Niemców, wojskowych i cywilnych z dalekich stron - Kalisz leżał bowiem na linii komunikacyjnej Wschód - Zachód. Było bardzo wskazane, aby mieć tam swego człowieka. Ponieważ siostrę żony znałem od niemowlęctwa i mogłem ręczyć za jej charakter - wybór padł na nią, tym bardziej, że znała język niemiecki i od dawna wyrażała chęć wstąpienia do

do Organizacji. W styczniu złożyła przysięgę, przyjęła pseudonim "Maria" i mieliśmy u Scheerschaidta & Kocha swego żołnierza z niewinną miną skromnej ekspedientki. Raporty składała bezpośrednio "Adamowi".

W lutym Alfred zorganizował dla pracowników fabryki gabinet dentystyczny. "rowadziła go moja żona w domu, pomagając nadto przy ewidencji pacjentów w fabrycznym gabinecie lekarskim, kierowanym przez lekarza, którego nazwiska nie pamiętam.

Gabinet dentystyczny w domu miał tę zaletę, że przybywający w wiadomych sprawach - mogli uchodzić za pacjentów.

+++++

W początku 1943 r. wpłynęły do Komendantury informacje o transportach małych dzieci, przywożonych w nielicznych grupach i umieszczonych w domu /adresu nie pamiętam/, którego obsada rekrutowała się całkowicie z Niemców spoza Kalisza. Transporty przybywały od strony Generalnej Gubernii. Co pewien czas po kilkoro dzieci wywożono w kierunku zachodnim. Na którejs z odpraw słyszałem o trudnościach w rozszyfrowaniu tej sprawy wobec braku możliwości nawiązania kontaktu tak z eskortą transportów jak i obsadą domu. Podchwyceno jedynie kilka słów wypowiedzianych przez dzieci po polsku. Odpowiedni meldunek został wysłany do Okręgu.

Dopiero w wiele lat po wojnie - dzięki audycji telewizyjnej prezentującej wywiad z Alojzym Twardockim, a potem po przeczytaniu jego książki "Szkoła janczarów" - uświadomiłem sobie, że chodziło o okręgowy dom dziecka w Kaliszu, w którym przebywały polskie dzieci odebrane rodzicom i przeznaczone na niemieckie

+++++

Czas płynął wartko - wydarzenia dziejowe narastały, podbudowując nasz opzymizm.

Alfred omawiał ze mną w tym czasie coraz szczególniejsze sprawy przyszłości. O klęsce Hitlera nie wątpiliśmy nigdy; wahały się jedynie w naszych przewidywaniach jej terminy. Obecnie jasnym było, że to już niedługo. To też Alfred precyzował etapy przygotowania się do wielkiego finału i do życia w wolnej Polsce.

Według jego planów fabryka powinna być maksymalnie wyposażona i rozbudowana /w ramach aktualnych możliwości/ do końca roku. W najbliższym czasie miała być uruchomiona bocznica kolejowa od stacji Winiary k. Kalisza do fabryki. Po odzyskaniu niepodległości zamierzał wykupić tereny /częściowo zalesione/ pr

przy fabryce i zbudować tam nowoczesne osiedle robotnicze, z lecznicą i urządzeniami socjalnymi oraz połączyć Winiary z Kaliszem linią tramwaju wahadkowego.

Po zakończeniu tego programu przypuszczalnie pod koniec 1946 r. przegnał cały obiekt przekształcić w spółdzielnię pracowników fabryki, zachowując sobie miejsce w jej zarządzie. Plan ten - jak mówił - został uzgodniony przez niego z żoną, która go w pełni akceptowała.

Wyzwolenie przewidywał na połowę 1944 r., a jeśli chodzi o jego formę - stawiał na równi możliwości zbliżenia się alian-tów zachodnich jak i armii radzieckiej.

Uzbrojenie "Podlasia" - tak jak i uzbrojenie całego Obwodu - wdziliśmy, zgodnie z posiadanymi instrukcjami, jako przygotowanie do powstania; zaatakowania Niemców w Kaliszu z wybiciem godziny "W", zdobycia broni i sprzętu, zabezpieczenia wartości materialnych i dokumentów wroga oraz włączenia się do formacji polskiej w nadchodzącej armii sprzymierzonych. Oddział "Podlasia" wdziliśmy wstępnie jako batalion piechoty z dwoma oficerami, kilkoma podoficerami, dwoma samochodami osobowymi i jednym ciężarowym.

Z satysfakcją przypominam sobie, że we wszystkich działaniach, programach i marzeniach tego okresu nie było w nas nawet cienia myśli o "wędzowaniu", przyszłych korzyściach, wyróżnieniach i t.p., tak jak nie było zgrzytów i tartć oraz wątków politycznych. Byliśmy przekonani, że najpierw trzeba wspólnymi siłami oswobodzić Kraj, a potem dopiero wspólnie postarać się o to, aby wszyscy w nim byli wolni i szczęśliwi.

Wdziliśmy, że na terenie Obwodu aktywna jest nadal NOW, że działa komórka komunistyczna, że dają znać o sobie oddział NSZ, że istnieje nieliczne "dzikie" zgrupowanie podoficerów zawodowych oraz "Miecz i Pług" i "Chłostra". Wdziliśmy jednak również o speli Naczelnego Wodza i Rządu w Londynie, aby wszystkie organizacje podziemne podporządkowały się dowództwu Armii Krajowej w walce o wyzwolenie oraz o tym, że - jeśli chodzi o NOW - podporządkowanie takie jest już uzgodnione ogólnie.

Wiadomości otrzymywane przez "Adama" z Łodzi oraz przez Alfreda z Warszawy podnosiły nas na duchu; coraz wyraźniej kształtowała się nadzieja na rychłe ogólnie polskie powstanie, na od tak dawna oczekiwane wystąpienie z bronią w rękę.

Na jednej z odpraw "Adam" powiadomił nas o ostatecznym uzgodnieniu działania NOW oraz o będących w toku pertraktacjach w sprawie podporządkowania się NSZ i "dzikiej" grupy zawodowych podoficerów.

Alfred coraz częściej przyjmował gości z Berlina i wyjeżdżał do Warszawy i Łodzi. Ponieważ uczestniczyłem w spotkaniach z emisariuszami - orientowałem się, że akcja koncentruje się na sprawie broni V, o której intensywnym doskonaleniu i wypróbywaniu przez Niemców wielokrotnie słyszałem.

Z nastroju nieco gorączkowego oczekiwania przełomowych wydarzeń wytrąciła nas w lipcu wiadomość o tragedii gibraltarskiej. Śmierć Naczelnego Wodza poraziła jak piorun. Błyskawicznie oceniliśmy poniesioną stratę. Od początku okupacji Sikorski był godnym reprezentantem Polski na arenie międzynarodowej. Jego rozum, uczciwość oraz szacunek, jakim cieszył się u aliantów, pozwalały mieć pewność, że sprawa polska jest właściwie prowadzona i będzie pomyślnie rozwiązana w dniu zwysięstwa. Nieklamaną żałobą okryła szeregi AK.

Wkrótce nastąpiły wypadki lokalne, które nie pozwoliły już nigdy na względnie równy nurt naszej działalności.

Latem tego roku wybuchnął pożar fabryki. Zniszczeniu uległa znaczna część magazynów. Przyczyny pożaru pozostały nieznane na szczęście - dzięki ubezpieczeniu - Alfred nie poniósł strat materialnych. Zaznaczył się w mojej pamięci ten pożar nie tyle jako sam fakt, nie mający wpływu na nasze sprawy, ile jako wydarzenie pokrywające się w czasie z powstaniem problemu, które wytrąciło nas z równowagi i bardzo zaniepokoiło.

Od pewnego czasu zauważyliśmy, że "Adam" jest niespokojny, roztargniony i zaczyna wykazywać brak ostrożności. Zbyt często zjawiał się w fabryce, u Alfreda lub u mnie, a w Kaliszu u "Stopa", bez wyraźnej potrzeby i bez zachowania ustalonych pozorów dla otoczenia; nadsyłał przez łączniczkę pisemne polecenia nie wymagające tej formy; zwoływał odprawy bez ważnych powodów; coraz częściej kontaktował się osobiście z "Marią" u Scheerschmidta & Kocha; nie przestrzegał ostrożności przy odwiedzeniu "melin".

Rozmawialiśmy o tym z Alfredem, dochodząc nareszcie do przekonania, że należy "Adamowi" zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo - tym bardziej, że wyczuwało się wyraźne zaostrzenie czujności Niemców, co tłumaczyliśmy sobie sytuacją na froncie wschodnim oraz działaniami aliantów na zachodzie i południu.

Pewnego dnia - chyba w sierpniu czy wrześniu - Alfred otrzymał wiadomość od "wtyczki" w Gestapo, że zwrócono szczególną uwagę na naszą fabrykę i jej kaliskie magazyny.

W tym czasie mieliśmy już pewne informacje, że w życiu "Adama" nastąpiły komplikacje natury ściśle osobistej i byliśmy pewni, że właśnie one wytrąciły go z równowagi, wprowadzając w stan depresji i reszki roztargnienia.

A sytuacja wymagała trzeźwości, czujności, rozsądku i jednocześnie aktywności.

Nowacki odbył z "Adamem" rozmowę, w toku której - jak mi potem opowiadał - położył nacisk na konieczność wzmożenia ostrożności w postępowaniu wszystkich członków Organizacji z Komentem na czele oraz skłaniał go do osobistego skontaktowania się z Okręgiem w celu szczegółowego omówienia sprawy przygotowania Obwodu do zbliżającej się ostatecznej rozgrywki z okupantem. "Adam" starał się przekonać Nowackiego, że nie ma podstaw do obawy o dekonspirację, a do Łodzi obiecał wybrać się w najbliższym czasie.

W końcu października Alfred otrzymał z Warszawy depezę z powiadomieniem, że bracia jego zostali aresztowani. Bezzwłocznie wyjechał do Warszawy, a żona jego do Berlina. Wrócił po kilku dniach, poruszywszy wszystkie znajomości w Łodzi i w Warszawie, aby uratować braci. W połowie listopada, po kolejnej bytności w Łodzi, powiedział, że zaświtała nikła nadzieja. Obiecano umożliwić ucieczkę Stefana i Teodora za cenę 2 milionów marek. W ciągu kilku dni - wypełnionych telefonami i telegramami do Berlina, Warszawy i Łodzi - niezbędna suma została postawiona w banku do dyspozycji. W końcu listopada Alfred pojechał do Łodzi i zrealizował przelew, wręczając pieniądze przekupionym gestapowcom. Dla uciekinierów były przygotowane dokumenty i miejsce schronienia.

Nadzieje przecięła wiadomość, że 3 grudnia Stefan i Teodor Nowaccy zostali zamordowani przez Gestapo w zbiorowej egzekucji, dokonanej w Warszawie obok zajezdni tranwajowej przy ul. Puławskiej.

Skończył się rok 1943.

13. U d e r z e n i e G e s t a p o

Śmierć braci zraniła Alfreda bardzo boleśnie, ale nie załamała. Przeżycia osobiste nie osłabiały jego aktywności.

Pochłaniała nas komplikująca się coraz bardziej sprawa "Adama", którego stan stawał się z dnia na dzień gorszy. Był roz-

dygotany, zdenerwowany, w rozmowie nie potrafił się skupić i przeskakiwał z tematu na temat, zaczął często pić, telefony jego z miasta do Alfreda i do mnie zaczęły zwracać uwagę fabrycznej telefonistki. Poza tym zaczęły się nim interesować niepowołane osoby. W styczniu 1944 r. przyjął pod komendę AK organizację "Miecz i Pług" - jednak w wielu innych ważnych sprawach wykazywał bierność. Przesiadywał w Winiarach u Alfreda i u mnie, a w Kaliszu u "Stopa", lub znikał nagle na kilka dni nie wiadomo gdzie. Budził nasze szczere współczucie, które nie przesłaniało jednak troski o przyszłość Organizacji.

Po licznych naradach w ścisłym gronie Nowacki zdecydował się pojechać do Łodzi, zreferować sprawę w Okręgu oraz spowodować odwołanie "Adama" i przydzielenie na stanowisko komendanta oficera odpowiadającego wymogom chwili.

Alfred postanowił zabrać mnie z sobą do Łodzi. Jednak przybycie łączników z Berlina, wyjazd Nowackiego na kilka dni do stolicy Rzeszy oraz konieczność rozszyfrowania postawy niektórych pracowników fabryki - opóźniła nasz wyjazd, który nastąpił dopiero 2 marca.

Wyjechaliśmy około 10⁰⁰, w południe byliśmy już u kuzyna Nowackiego, p. Stefana Alexandra, mieszkającego w Łodzi przy ul. Traugutta. Alfred miał załatwić kilka spraw firmowych, wpaść do punktu kontaktowego "Lombardu" i skontaktować się z kimś ze sztabu Okręgu. Ja w tym czasie zamierzałem odwiedzić przyjaciół oraz załatwić u dawnych znajomych dwie "meliny" gotowe do przyjęcia naszych ludzi w przypadku spalenia. Mieliśmy się spotkać u p. Alexandra o 19⁰⁰. Alfred liczył na to, że wróci z przedstawicielem Okręgu, któremu wspólnie zreferujemy sytuację, wnioskując bezwzględną zmianę na stanowisku komendanta Obwodu.

Kiedy o oznaczoną godzinie wróciłem z miasta dowiedziałem się, że Alfred był w międzyczasie i polecił, abym na niego czekał.

Zjawił się około 22⁰⁰ podniecony i zdenerwowany - co było u niego wyjątkowym objawem. Okazało się, że oficer ze sztabu Okręgu - z którym się spotkał - powiadomił go o zastrzeleniu przez Gestapo podczas pościgu członka Organizacji /"Mikołaja"? przy którym Niemcy znaleźli dokumenty dotyczące m. inn. terenu. W związku z tym wypadkiem zarządzane było przetasowanie punktów kontaktowych oraz wzmożone "przyczajenie się". O załatwieniu sprawy "Adama" nie mogło być w tych warunkach mowy i mieliśmy do niej wrócić za tydzień, ^{ponownie} przyjeżdżając do Łodzi.

Poza tym Alfred widział się ze swoją "wtyczką" w łódzkim Gestapo i uzyskał informację, że ostatnio urząd ten zainteresował się terenem Kalisza oraz że przed kilkoma dniami, po byłbytności jakiegoś osobnika spoza Łodzi, była mowa o fabryce winiarskiej. "Wtyczka" podała powierzchowny rysopis tego osobnika.

Około 23⁰⁰ ruszyliśmy w drogę powrotną z p. Alexandrem, którego Alfred zabrał na krótki wypoczynek do Winiar. Mieliśmy - udając się za tydzień do Łodzi - odwiedzić go do domu.

W drodze powrotnej Alfred wyraził opinię, że należy niezwłocznie wywieźć "Adama" do którejś z "melin" pod Kaliszem oraz zachować w działalności jak najdalej idącą ostrożność do czasu wyjaśnienia sytuacji.

Rozważaliśmy też kim mógł być osobnik, po którego wizycie Gestapo zainteresowało się Winiarami. Mieliśmy różne przypuszczenia, ale zbyt mało danych, aby dojść do konkretnych ustaleń.

Z Alfreda emanowała wyostrzona czujność, ale nie panika, ani nawet niepokój.

Przybyliśmy do Winiar po północy. Udałem się wprost do domu i położyłem spać, myśląc gdzie zamelinować nazajutrz "Adama".

Nie zdążyłem zasnąć, kiedy zadzwonił telefon. Usłyszałem głos Alfreda: "Herr Kelm? komen Sie gleich hier" i z naciskiem: "Aber sofort".

Przyznaję, że zdrętwiałem. Błyskawicznie przypomniałem sobie umówiony sygnał. Powiedziałem żonie, że muszę natychmiast uciekać. Wyjrzeliśmy, nie zapalając światła, oknem wychodzącym na fabrykę; panował tam jakiś ruch przy bramie, błyskały reflektory auta, dobiegały podniesione głosy. Wróciłem do pokoju, wzięłem pistolet, peca wezła pocałowałem śpiącą córeczkę, pożegnałem żonę i na wpół ubrany wyszedłem przez okno wychodzące na opłotki. Odbiegłem kilkanaście metrów, usłyszałem tupot kroków od strony fabryki i niemiecki szwargot. Ukryłem się w stojącej opodal "szlawojce". Wkrótce doszedł namięnie stukot, znajome skrzypnięcie otwieranych do naszego domku drzwi i dochodzące z wewnątrz głosy. Po pewnym czasie znów otwarcie drzwi i liczne kroki, potem od strony fabryki warkot motoru i nawoływania. Wreszcie usłyszałem odjeżdżające w stronę szosy samochody i zapadła cisza.

Starałem się myśleć spokojnie, ale bez powodzenia. Niebo szarzało. Już miałem zaryzykować przemknięcie się do domu,

aby uzupełnić ubranie, kiedy przez szpary w "sławojce" zobaczyłem idącą wolno postać w chustce. Poznałem ją: była to jedna z pracownic fabryki, p. Genia Zimna /obecnie p. Piekarkowa, zamieszkała w Kaliszu/, która podeszła szybko, gdy wysunąłem się z ukrycia. Pracowała tego dnia na nocnej zmianie. Dowiedziałem się od niej, że w fabryce jest Gestapo. Widziała jak moją żonę i Alfreda wywieziono samochodem do Kalisza. Słyszała o splendorowaniu naszego mieszkania. Domyślała się, że byłem ukryty gdzieś w pobliżu.

Prosiłem, aby dowiedziała się, co stało się z córeczką i aby - jeśli to możliwe - przyniosła mi resztę odzieży oraz walizeczkę ukrytą w showku w biurze magazynów.

Poszła, a ja drżałem z zimna, a bardziej pewnie z niepokoju o najbliższych i Alfreda.

Robiło się coraz jasniej, wreszcie zobaczyłem p. Genię. Uspokoila mnie, że córeczką opiekowała się mieszkająca w pobliżu sąsiadka. Przyniosła ubranie i walizeczkę. Szybko ubrałem się i poszliśmy w kierunku lasu, do domku, w którym mieszkaliśmy z matką dwie młode pracownice fabryki, p.p. Stasia i Janka Szewczykówny. Osada jeszcze spała, nikt nas nie widział. Moje gospodynie bez namysłu wyraziły gozowość przechowania nas przez pierwszy okres niebezpieczeństwa. O opuszczeniu Winiar nie było mowy dopóki teren był penetrowany przez Gestapo.

Przypomniałem sobie, co mi kiedyś powiedział Alfred: że to któremu w razie "wsypy" uda się uciec, ma za wszelką cenę uniknąć pochwycenia i przedostać się do Generalnej Gubernii, a ci którzy będą wzięci - otrzymawszy wiadomość, że uciekinier jest za granicą - będą mogli w zeznaniach kierować na niego uwagę Gestapo.

Bardzo ważnym osiągnięciem p. Geni było zdobycie mojej walizeczki, w której znajdowało się od dawna przygotowane wyposażenie; m. inn. "ausweis" in blanco, pistolet VIS z zapasowym magazynkiem i pudełkiem naboju, papierosy i zapałki oraz ukryte specjalnie "ziarenko pszenicy", w które - tak jak "Adam" i Alfred - byłem wyposażony; była to trucizna w kształcie ziarenka, kompozycja z cjankiem potasu, działająca podobno błyskawicznie.

Po południu p. Genia przybiegła z wiadomością, że żona moja została zwolniona i jest w domu, a wieczorem zorganizowała nasze spotkanie.

Żona opowiedziała mi, że po przywiezieniu do Gestapo w Kaliszu skierowano ją i Alfreda do pokoju, w którym zastali tłum aresztowanych.

Zorientowała się - ujrzawszy znajome twarze - że nastąpiło wielkie uderzenie w Organizację. Złudzenie, że Nowackiego przywieziono bez konkretnych zarzutów, raczej w celu przesłuchania w związku z innymi aresztowanymi, przysnęło gdy była świadkiem potraktowania go przez gestapowców. Zrozumiała, że to koniec.

Żonę wypytywano o mnie, o innych. Trzymała się z uporem twierdzenia, że nic o niczym nie wie. Rano wypuszczono ją - byliśmy pewni, że "na Wabia". Wróciła do domu, odwiezła córeczkę do matki do Kalisza, uporządkowała mieszkanie.

Pożegnaliśmy się - do zobaczenia w wolnej Polsce.

Przebywałem nadal u swych opiekunek. Odwiedzała mnie co dzień p. Genia, przynosząc wiadomości. Łukomski dał mi przez nią znać, że zorganizuje w najbliższych dniach wywiezienie mnie z Winiar.

Przygotowywałem się do wybrnięcia z potrzasku i ucieczki do Generalnej Guberni. Wypełniłem blankiet "ausweissu" nie pamiętam już jakim nazwiskiem. Brak było zdjęcia. Zrobił mi je Jurek Siarkiewicz, który w tym celu zaryzykował przybycie do mojego schronienia, wiedząc czym to grozi. Urosły mi przez te dni skąpe wąsy, uczesałem się z przedziałkiem, Jurek zrobił zdjęcie na tle prześcieradła.

8 marca dowiedziałem się, że żonę powtórnie wezwano do Gestapo oraz że aresztowano p. Hannę Nowacką.

Nazajutrz wieczorem Łukomski podstawiał starego "Opla" z kierowcą Jurkiem i udało mi się bez przypadku przyjechać z Winiar do magazynu fabrycznego przy kaliskim dworcu kolejowym. Tam w dzień byłem ukryty za workami z suszonymi warzywami, a w nocy sypiałem w przyległym mieszkaniu magazyniera, Józefa Zdyba.

Po kilku dniach zaryzykował zobaczenie się ze mną Łukomski. Dowiedziałem się od niego, że żony nie wypuścili. Myślałem o zgłoszeniu się do Gestapo, aby w ten sposób umożliwić jej uwolnienie, ale Łukomski przekonał mnie, że moje ujawnienie się nie gwarantuje wolności żony: mogę natomiast podczas badania - nie znając linii jej zeznań - pogorszyć sytuację. Zresztą - wiedząc za wiele, a znając metody Gestapo i nie przeceniając swych sił, mógłbym mieć nadzieje tylko w "ziarnku pszenicy". Łukomski uspokoił mnie, że córeczce, matce i siostrze nic nie brakuje.

Rozważaliśmy sytuację: niewątpliwie uderzenie Gestapo było bardzo celne. Aresztowani byli m. inn. "Stop", "Ewa", J. Dreszer, K. Wunsche, H. Nowacka, E. Fibigerówna, H. Fulde. Można się było obawiać, że w wyniku badań ilość aresztowanych wzrośnie.

"Adama" nie chwycono. Zniknął z terenu Kalisza, najprawdopodobniej nie było go w mieście krytycznej nocy.

Po kilkunastu dniach pobytu w magazynie ostrożność nakazywała zmienić kryjówkę tym bardziej, że magazynier i jego żona byli w stanie zbyt silnego napięcia nerwowego.

Przemknąłem się któregoś wieczora do śródmieścia, do kawalerki p. Janiny Walczakówny /obecnie p. Klimasowej, zamieszkałej w Kaliszu/, która nazajutrz przeprowadziła mnie o zmroku do domu p.p. Spychalskich przy ul. Częstochowskiej. Gospodarze umieścili mnie w bocznym, małym pokoiku, opiekowała się mną ich córka p. Helena. Zaznałem tam wiele dbałości i serdeczności. Mimo to - trudno wyrazić jak rozpaczliwie trudne i długie były dni spędzane z ciężarem myśli o losie żony, najbliższych oraz towarzyszy broni.

U p.p. Spychalskich ukrywałem się do 6 kwietnia. Odwiedziła mnie tam - z zachowaniem wszelkich ostrożności - matka z siostrą. Na szczęście nie były z mego powodu niepokojone, może dzięki temu, że nosiliśmy różne nazwiska i nie mieszkaliśmy razem.

Łukomski dał mi znać, że czujność Niemców nieco osłabła, wobec czego zdecydował się przeżuć mnie już do Łodzi. Razem ze mną miał uciekać "Bicz", spalony na terenie Kalisza i Ostrowa Wlkp.

6 kwietnia wieczorem p. J. Walczakówna przeprowadziła mnie z gościnnego domu p.p. Spychalskich do mieszkania p.p. Kiniców w domu banku przy sądzie. Był tam już "Bicz". Przedrzemaliśmy do świtu, kiedy zjawił się Łukomski. Ciężarówka "Skoda" fabryczna z kierowcą Józefem Chytrzyńskim, załadowana pakami z towarami, czekała przed domem. Szybko umieszczono nas w głębi wozu, między pakami.

Przed pożegnaniem Łukomski wręczył mi 1.000,- marek, które otrzymał dla mnie od d-ra Stanisława Nowaka /długu tego zaciągnęmu Doktorowi nie zwróciłem.../.

Ruszyliśmy 7 kwietnia rano. W drodze dwukrotnie zatrzymywano auto, ale szczęśliwie dojechaliśmy do Łodzi pod wskazany przez Łukomskiego adres i tam przenocowaliśmy. Pamiętając o ostrzeżeniach - nie odwiedziłem żadnego z punktów kontaktowych.

W Wielką Sobotę, 8 kwietnia, wyruszyliśmy autobusem w kierunku Andrzejowa, doszliśmy pieszo do wskazanego nam w Łodzi domku w okolicy Gałkówka, gdzie mieszkał osobnik trudniący się przeprowadzaniem przez pobliską granicę.

Poczekaliśmy do wieczora. Zgodnie z planem zniszczyliśmy fałszywe "ausweis", pozostając bez dokumentów. Na wszelki wypadek mieliśmy przygotowane tłumaczenie, że pochodzimy z Warszawy i uciekliśmy z transportu wiozącego ludzi na przymusowe roboty do Belgii.

Około 22⁰⁰ weszliśmy za przewodnikiem w las. Po pewnym czasie minęliśmy go i zobaczyliśmy w oddali tor kolejowy, za którym zaczynała się Generalna Gubernia. Było jasno - pełnia księżyca. W pewnej chwili usłyszeliśmy głosy i szczekanie psa. Tuż przed nami wyłonili się trzej żandarmi z wilczurem. Przewodnik ulotnił się.

"Bicz" na szczęście znał niemiecki lepiej niż ja, władał nim dosyć płynnie. Na pytanie skąd i dokąd idziemy - począł z wielką swadą tłumaczyć żandarmom, że właśnie udajemy się "o, stąd" do rodziny na pogrzeb "o, tam". Od Niemców załatwiał wódkę. Miałem w walizeczce butelkę spirytusu - wyjeliśmy ją i podsunęli żandarmom. Byli podpioci i wyraźnie senni. Wzieli spirytus, zabełkotali coś, "Bicz" już ich żegnał, życząc wesołych świąt. Pies jakoś przestał warczeć. Lękając się obejrzeć szliśmy ku torowi, wreszcie przeskoczyliśmy go.

Warthegau pozostał za nami. Pozostał też za mną szmat życia, pozostała żona w rękach wroga, pozostali najbliżsi. Odwróciłem się i długo żegnałem spojrzeniem las dopiero co przebyty, osrebrzony blaskiem księżyca, pełen spokoju, którego we mnie nie było.

III. W G E N E R A L N E J G U B E R N I I

1. "B i a ł o d r z e w"

Ukazały się domki, ale do którego z nich miał nas doprowadzić przewodnik? Była blisko północ, wszystkie okna ciemne. Weszliśmy między zabudowania. W jednym z okien, w oddali, mignęło światło. Skierowaliśmy się w tym kierunku. Spojrzano na nas podejrzliwie, potem z rozmowy wyniknęło, że to właśnie tu miał z nami dojść przewodnik. Doczekaliśmy ranka, drżąc na krzeselkach. Wreszcie wstało słońce. Był pierwszy dzień Wielkanocy.

Ominęliśmy Koluszki i na najbliższej stacji wsiedliśmy w pociąg jadący do Sandomierza. Ten punkt docelowy wybrał "Bicz", gdyż miał w Sandomierzu znajomych, pochodzących z jego rodzinnych stron. Wobec ostatnich wypadków w Łodzi i w Kaliszu nie mogłem skorzystać z adresów warszawskich, które mogły być już zdekonspirowane.

Jechaliśmy bez dokumentów, bez biletów, zwracając na pewno uwagę powierzchownością: brudni, nieogoleni, dziwacznie ubrani. Wyglądaliśmy przez okna wagonu, uważając co się dzieje po obu stronach pociągu. Gdy kilkakrotnie na stacjach zbliżali się "bahnschutze" - wysiadaliśmy po przeciwnej stronie, przenosząc się do innego wagonu.

Po południu dojechaliśmy do Sandomierza. Na dworcu odbywała się właśnie łapanka... Jakiś kolejarz - domyślając się widocznie kim jesteśmy - przeprowadził nas przez zakamarki stacyjne poza teren dworca.

"Bicz" od napotkanego przechodnia dowiedział się, gdzie mieszka rzeźnik Kamzol. Okazało się, że w pobliżu. Po kilku minutach stukaliśmy do bramy jego domu.

Rodzina p.p. Kamzolów - rodzice, córka Helena i trzech synów: Kazimierz, Marien i Władysław - przyjęła nie tylko z dawną zaprzyjaźnionego "Bicza" ale i mnie bardzo serdecznie. Gospodarz - p. Józef - zapewnił, dowiedziawszy się o naszych perypetiach, że możemy pod jego dachem czuć się bezpiecznie.

Znaleźliśmy w domu tych zacnych ludzi i pomoc i przyjaźń.

W ciągu kilku dni p. Helena /obecnie p. Kazowska, zamieszkała w Ostrowie Wlkp./ zdobyła dla nas "kennkarty" in blanco, autentycznie ostemplowane. Wpisaliśmy do nich nowe swoje nazwiska: "Bicz" - Jan Borykała, ja - Karol Wanddecki. Mogliśmy więc poruszać się po mieście, tym bardziej, że p. Józef załatwił formalności w "Arbeitsamt", meldując nas jako swoich pra-

pracowników.

Niezwłocznie nawiązaliśmy kontakt z lokalnymi władzami AK. Przyjął nas kpt. "Kret" i - po szybko przeprowadzonym sprawdzeniu naszej tożsamości - zostaliśmy włączeni do Obwodu Sandomierskiego /"Białodrzew"/ z przydziałem do batalionu kpt. "Swojaka" w 2 Pułku Piechoty Ziemi Sandomierskiej. Pułk wchodził w skład 2 Kieleckiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej.

Byliśmy odurzeni atmosferą panującą w Guberni, która w porównaniu z Warthegau wydawała się już Polską. Stosunek ilościowy Niemców do Polaków był chyba odwrotny niż tam. Słychać było wszędzie język polski, nie czuło się na każdym kroku szyszanę i ograniczeń.

Mnie tręła jedynie myśl o losie żony i najbliższych. Żadnych kontaktów listownych z Kaliszem mieć naturalnie nie mogłem.

Przez przeszło trzy miesiące braliśmy udział w życiu i akcjach batalionu w którym "Bicz" pełnił funkcję szefa uzbrojenia, a ja szefa kancelarii. Jeszcze w Kaliszu, po przeszkoleniach, otrzymałem stopień kaprała pchr., a następnie plutonowego pchr.. W początku lipca kpt. "Swojak" przekazał mi awans do stopnia sierżanta pchr.. Fakt ten sprawił mi przyjemność, gdyż pozwalał uważać moją dawną kategorię "D" za głęboko po-grzebaną.

W maju, w majątku Wilczyce poznałem na odprawie dowódcę pułku, mjr. "Kruka". Zameldowałem się w pilnej sprawie i zreferowałem krótko historię kaliską. Podkreśliłem rolę Nowackiego w akcji "Lombard". Prosiłem o rozpatrzenie możliwości interwencji przez Warszawę i Łódź w celu oswobodzenia uwięzionych. Mjr. "Kruk" obiecał powiadomić Warszawę, ale nie robił nadziei na pomyślne załatwienie wystąpienia. Sytuacja ogólna absorbowała Komendę Główną i komendy okręgów bez reszty problemami spodziewanego bliskiego starcia z okupantem. Wszystkie inne sprawy osuwane były na drugi plan.

Uczestniczyłem w kilku odprawach w okolicznych miejscowościach - przeważnie majątkach: w koncentracji pod Słaboszewicami, gdzie widziałem dowódcę Dywizji, płk. "Lina" i czułem ściśnięcie serca na widok polskich mundurów; w spotkaniu pod Dwikożami z oddziałem BCh, z którym następowała synchronizacja działań; innym razem z oddziałem sławnych "Jędrusiów".

Brałem udział w akcjach batalionu, m.inn. w zlikwidowaniu posterunku żandarmerii w Bugaju - gdzie akcją dowodził "Bicz" /wszyscy Niemcy zostali wystrzelani, a posterunek spalony/; w rozbiciu części cofającego się sztabu niemieckiego - gdy akcję na kolumnę samochodową na szosie doŁpatowa prowadził

"Aga Khan" /Niemcy zostali zlikwidowani, samochody spalone/, w walce z wermachtem, żandarmerią i własowcami pod Wesołówką.

W końcu maja doszły wiadomości o walkach pod Monte Cassino. W czerwcu zelektryzował nas komunikat o wylądowaniu aliantów we Francji. Ze wschodu zbliżał się nieustannie rozpięty kolosalny front radziecki.

26 lipca nadszedł rozkaz koncentracji. Czuliśmy, że zbliża się godzina "W".

Zegnaliśmy się z naszymi gospodarzami. W ostatniej chwili p. Kamzol oświadczył, że wraz z dwoma starszymi synami idzie z nami. Polecił żonie, aby z córką, najmłodszym synem i dobytkiem przeniosła się do plebanii w Jankowicach pod Sandomierzem, gdzie zapewnił pomieszczenie dla nich u proboszcza, kś. J. Góry.

Ruszyliśmy do Pielaszowa, na wyznaczone miejsce postoju batalionu. Przybyliśmy wieczorem. "Bicz" zajął się sprowadzeniem z magazynów broni i amunicji, p. Kamzol objął funkcję podoficera prowiantowego.

Coraz obfitszy strumień różnych formacji cofających się wojsk niemieckich płynął szosami. Robiliśmy małymi grupami wypad, szarpiąc kolumny coraz to z innej strony.

1 sierpnia wieczorem łącznik z dowództwa przyniósł wiadomość o wybuchu powstania w Warszawie i rozkaz przygotowania się do wyruszenia w kierunku Stolicy. Podniecenie dosięgnęło szczytu. Wybiła godzina "W", na którą czekaliśmy tyle lat!

Nazajutrz rozkaz został odwołany. Łączność z dowództwem i sąsiednimi oddziałami zaczęła się rwać. Przesunęliśmy się do sąsiadującej z Pielaszowem Wesołówki i rozlokowaliśmy się w kilku gospodarstwach. Nastroj był podły. Minęło kilka dni, bezskutecznie staraliśmy się nawiązać kontakt z dowództwem, które zmieniało miejsce postoju.

Któregoś dnia po południu zaatakowaliśmy sunące szosą trzy amfibie. Strzelanina była krótka ale bardzo intensywna. Wszyscy Niemcy zostali na placu, między nimi generał i kilku wyższych oficerów. Amfibie zostały zniszczone granatami.

2. W e s o ł ó w k a

Następnego dnia wczesnym rankiem zbudziły nas strzały. W kilka minut byliśmy ubrani. Nadbiegły pędem ubezpieczenia, a tuż za nimi zobaczyliśmy Niemców. Od strony szosy szli własowcy, z zagajników wyłoniła się żandarmeria, polem zbliżał się wermacht. Trójkąt się zamykał, akcja była wyraźnie zaplanowana.

Nie było czasu na zorganizowany opór. Każdy przebiegał się jak mógł. Straciłem z oczu "Bicza". Znalazłem się w pobliżu "Swojaka" i "Aga Khana", biegnących w kierunku zagajnika. Było jasne, że "Swojak" nie panował nad sytuacją. Co chwila padaliśmy, bo kule gwizdały ze wszystkich stron, i strzelaliśmy do najbliższej podchodzących własowców.

Nie wiem, kiedy zostałem sam. Po wystrzeleniu ostatniego naboju odrzuciłem bezużyteczny już pistolet. Zrobiłem długi skok i znalazłem się w zagajniku. Gorączkowe myśli przebiegały przez głowę. Byłem sam i bez broni. Przyłgałem twarzą do ziemi i postanowiłem udawać trupa. Nade mną przelatowały kule, słyszałem w pobliżu tupot biegnących i krzyki Niemców oraz własowców. W każdej chwili byłem przygotowany do ostatniej podróży. Wiedziałem, że udawanie zabitego jest mizerną szansą ocalenia, zwłaszcza gdyby natknęli się na mnie własowcy. Leżałem długo. Strzały oddalały się, nie słychać już było bieganiny. Podczołgałem się do skraju zagajnika. Przede mną było puste pole, które minęliśmy w ucieczce, na prawo w pobliżu rozciągał się łąk pszenicy. Na polu widać było rozrzucone, nieruchome postacie naszych i Niemców. Strzały dochodziły z dużej odległości. Przeczłołem się powoli do pięknie wyrosniętej pszenicy i zaszyłem się w jej gąszczu.

Po południu przesunąłem się w kierunku wsi i wyjrzałem: w pobliżu kobieta pasła krowę. Zobaczyła mnie i wolno podeszła. Poprosiłem o wodę - dokuczało mi nieopisane pragnienie. Przyniosła wkrótce dzban. Dowiedziałem się od niej, że własowcy i żandarmi nie wrócili, a wehrmacht przygotowywał się we wsi do odjazdu. Wskazała mi, któredy mogę dojść do szosy omijając wieś. Spojrzałem w kierunku zabudowań, w których spędziliśmy ostatnie dni: dopalały się ich zgliszcza.

3. J a n k o w i c e

Furażerkę i AK-owską opaskę schowałem do cholewy buta i omijając wieś wyszedłem na szosę w kierunku Sandomierza. Miałem na sobie koszulę, wojskowe bryczesy i długie buty, cywilną marynarkę niosłem w ręku. Skorzystałem ze zwałów pyłu, nagromadzonych na pobrzeżu szosy rozjeżdżonej przez zmotoryzowane kolumny niemieckie i okurzyłem porządnie bryczesy i buty, aby nie kłuć nimi w oczy coraz to mijających mnie żołnierzy. Przed wieczorem udało mi się dobrać do Jankowic, gdzie słyszano już o bitwie pod Wesokówką. Do późnej nocy

nie mogliśmy zasnąć, niespokojni o losy p. Kamzola, jego synów "Bicza".

Nazajutrz rankiem przyszła dziewczyna z Wesołówki z wiadomością od p. Józefa, że żyje i ukrywa się w Pielaszowie. Opowiedziała nam, że Niemcy pozbierali swoich zabitych i spalili część wsi. Trupy naszych zostały pogrzebane w nocy przez miejscową ludność.

Bezwzględnie pojechałem z p. Heleną do Pielaszowa, skąd przywieźliśmy p. Józefa; nie był ranny, ale wielogodzinne ukrywanie się w podmokłym gąszczu spowodowało bóle krzyża i nóg, uniemożliwiające poruszanie się. Tak jak i ja nie wiedział, co się stało z ocalałymi żołnierzami batalionu.

Następnego dnia - widząc niepokój p. Kamzolowej - wybrałem się wozem w stronę Wesołówki z nadzieją, że dowiem się czegoś o losie jej synów oraz "Bicza", "Swojaka" i reszty kolegów.

Przed Wesołówką spotkałem jedną z łączniczek batalionu, "Hankę"/drugą była "Wanda" - Wanda Kiełczewska/, od której dowiedziałem się, że "Swojak" znajduje się z gastką ocalałych w majątku Słaboszewice, a ona krąży po okolicy, szukając śladów pozostałych.

Pojechałem zaraz do Słaboszewic. "Swojak" powitał mnie serdecznie. Zobaczyłem przy nim młodszego syna p. Józefa, Mariana. Doszliśmy ze "Swojakiem" do wniosku, że należy go odsłać do rodziny, gdyż nie posiadał żadnego przeszkolenia wojskowego i byłby jedynie ciężarem dla grupy. Umówiliśmy się, że że odwożę go, pożegnając p.p. Kamzolów, zabiorę osobiste rzeczy i wrócę do grupy.

Jednak nazajutrz nie zastałem już w Słaboszewicach ani "Swojaka", ani nikogo z grupy. Podobno w nocy przechodziły oddziały niemieckie, wobec czego zmienił miejsce postoju. Mimo poszukiwań nie trafiłem do wieczora na ślad grupy.

Wróciłem do Jankowic, gdzie zastałem p. Kamzolową uradowaną, gdyż w międzyczasie wrócił starszy syn, Kazimierz, który pod Wesołówką przedarł się do lasu i określnymi drogami dotarł do Jankowic. O "Biczu" niestety nie było żadnych wiadomości.

Stan zdrowia p. Józefa stawał się niepokojący. Bóle wzmagaly się, lekarza nie było.

Wieczorem natknąłem się przy kościele na por. "Janczara" /nie pamiętam z którego pułku naszej dywizji/. Jego oddział również został ostatecznie rozbity, a on z kilkunastoma ludźmi kręcił się po okolicy, robiąc wypadki na mniejsze oddziały niemieckie, których coraz więcej wycofywało się na zachód.

Brałem kilka razy udział w tych wypadach, nie zdradzając się przed p.p. Kamzolami, z uwagi na starszych synów, którzy mogli by chcieć mnie naśladować.

Pewnego popołudnia por. "Janczar" padł trafiony zabłąkaną kulą w pobliżu kościoła jankowickiego i tam został pochowany. Nie pamiętam jak się nazywał. Pochodził z Piotrkowa Trybunalskiego, często wspominał żonę i małą córeczkę.

Oddziały artylerii ze wschodu były coraz bliższe. Niemcy cofali się coraz szybciej i liczniej. Jeden z cofających się oddziałów spalił przedmieście Sandomierza, gdzie znajdował się dom p.p. Kamzolów.

"reszcie któregoś ranka w połowie sierpnia ostatnie pozycje artylerii niemieckiej przesunęły się szybko obok Jankowic, a na horyzoncie ukazała się i rosła w oczach tyraliera piechoty. Po godzinie weszły wymizerowane, zakurzone, zmęczone oddziały radzieckie.

Po 4 latach i 11 miesiącach przestała nade mną ciążyć swastyka. Niestety - ciążyła jeszcze nad moimi najbliższymi.

4. S i e l e c

Dopytywałem żołnierzy radzieckich o formacje polskie: zapewniali, że lada dzień nadejdą.

Rodzina p.p. Kamzolów postanowiła wrócić do Sandomierza, po upewnieniu się, że dom został tylko częściowo spalony. Smutny to był powrót - z ciężko chorym p. Józefem, do zdewastowanego mieszkania.

Doprowadziliśmy do stanu względnie zadawalającego dwie izby i kuchnię - ale życie w prymitywnych warunkach było możliwe tylko w okresie pogody, ciepła. Lekarz sprowadzony z Tarnobrzega stwierdził u p. Józefa silny atak ischjasu.

We wrześniu przenieśliśmy się z całym dobytkiem do wsi Sielec pod Tarnobrzegiem, do znajomych gospodarzy. Pan Józef nie wstawał, czuł się coraz gorzej, niknął w oczach.

W Sielcu zetknąłem się z dwoma żołnierzami z grupy "Jędrusiów", którzy mieli informacje od oficera ze sztabu naszej dywizji, spotkanego niedawno na wschodnim brzegu Wisły. Sytuacja nasza była niejasna: formacji polskich w pobliżu nie było, a od strony Lublina dochodziły wiadomości o rozbrajaniu i internowaniu AK-owców. Front armii radzieckiej - po utworzeniu przyczółka sandomiersko-tarnobrzęskiego - zatrzymał się.

Przez Sielec przewijały się różne oddziały radzieckie. W ciągu kilku dni kwaterował u naszych gospodarzy major

radziecki, bardzo kulturalny człowiek, z którym często rozmawiałem /znał francuski/. Naturalnie wspominałem kim jestem. Fragałem się dowiedzieć prawdy o Łublinie, ale nic na ten temat nie mógł mi wyjaśnić. Pytałem o perspektywy dotarcia do Kalisza - również rozkładał ręce.

Orientowaliśmy się jedynie, że siły radzieckie organizują się przed wielkim skokiem.

Młodzi Kamzolewie uruchomili wyrób kiełbas, które woziliśmy z p. Heleną na sprzedaż do Sandomierza. Ja próbowałem pędzić bimber z buraków cukrowych.

W Sandomierzu wojskowych formacji polskich nadal nie było, funkcjonował tylko Urząd Bezpieczeństwa. Podczas jednej z bytności w mieście spotkałem matkę "Kaliny", żony "Aga Khana". Nie miała żadnych wiadomości o zięciu. Uprzedziła mnie, że atmosfera w Sandomierzu jest przykra, władze bezpieczeństwa wyłapują AK-owców i osadzają ich w więzieniu.

W październiku zostali aresztowani w Sielcu dwaj starsi synowie p. Kamzola - zamiast chorego ojca, którego poświadczono, że był volksdeutschen. Udałem się do UB w Sandomierzu, gdzie przyjął mnie komendant tego urzędu "Kamil". Tłumaczyłem, że widziałem podczas okupacji dokumenty p. Kamzola i jego rodziny, te same które mają obecnie, że biegła znajomość języka niemieckiego przez p. Józefa /jeden z elementów poświadczenia/ jest normalną uniejętnością ludzi jego pokolenia, urodzonych i wychowanych w poznańskim. Po długich naleganiach uzyskałem zapewnienie, że sprawa zostanie ponownie rozpatrzona. Po tygodniu Kazimierz i Marian wrócili do Sielca.

26 listopada, gdy przyjechaliśmy z towarem do Sandomierza zostałem wraz z Kazimierzem Kamzolem aresztowany na ulicy i osadzony w więzieniu pod zarzutem przynależności do AK.

Po pewnym czasie znalazła się w więzieniu p. Helena, znów pod zarzutem, że jej ojciec był volksdeutschen.

Nie było z kim rozmawiać. Nie przesłuchiowano nas. Sytuacja wydawała się beznadziejna. Przez kilka dni siedziałem w małej celi nr 3 w jednym granatowym policjantem i trzema podejrzanymi typami, potem w kilkunastoosobowej celi nr 15, na koniec w sześciu w celi nr 7.

Zorientowany dostatecznie jak władze UB nastawione są do żołnierzy AK - postanowiłem nie przyznawać się, przeżyć, doczekać praworządności.

Trudno wyrazić rozpacz ogarniającą na myśl, że władze oswobodzonej nareszcie Polski pozbawiły mnie wolności za trwanie od pierwszych dni okupacji w szeregach podziemnej armii polskiej, za walkę z najeźdźcą - za to samo, za co Niemcy tracili i męczyli moich towarzyszy broni, o co oskarżali moją uwięzioną żonę.

W sąsiednich celach siedziało wielu AK-owców, kilku z naszej dywizji. Mimo bardzo ostrego rygoru i czujności strażników - kontaktowaliśmy się z rzadka, wymieniając w grypsach nowiny.

W styczniu 1945 r. otrzymałem gryps /nie wiem jaką drogą do mnie dotarł/, że żona moja została wypuszczona z więzienia jest zdrowa i znajduje się z córeczką w Kaliszu. Wielka radość i ogromna ulga pozwoliły mi pogodniej spojrzeć na swój los.

Wkrótce z najgłębszym żalem dowiedziałem się o śmierci p. Józefa Kamzola. Odczułem ją jak stratę kogoś z najbliższych.

Zamknięci w piwnicznych celach słyszeliśmy huraganowy ogień rozpoczynającej się 12 stycznia wielkiej ofensywy. Tworzyła się Historia, ale dla nas nie było w niej miejsca.

Z więzienia wyszedłem 10 marca 1945 r.

Poświęcam te wspomnienia Żonie, która mi była
wiernym towarzyszem w długiej, podziemnej drodze
do wolności - pomocą w trudach - oparciem w chwi-
lach ludzkiej słabości - i cierpiała przeze mnie
w gestapowskich więzieniach.

Warszawa, wrzesień 1971 r.

Wielka Warszavo!

Pamiętam Twoje skarby, pamiątki,
 Ulice rojne, ciche zakątki,
 Łazienki, Zamek i Rynek Stary -
 Wszystkie uroki i wszystkie czary.
 Pamiętajm Twoje dnie jasne, gwarne
 I noce letnie upojne, parne -
 Pamiętajm, cudna mych wspomnień zjawo,
 Wielka Warszavo!

Pamiętam Twoje płonienne chwile:
 Huk bomb, grzmot armat i trupów tyle,
 Ruiny, zgliszczca, dymy, pożary,
 Widna jak żywe, ludzi jak mary -
 Pamiętajm dumę, co w piersiach rosła,
 Że tak samotna, a tak wyniosła,
 Krwią piszesz święte wolności prawo,
 Wielka Warszavo!

Pamiętam ranek posepny, głuchy,
 Kiedy poległych westchnęły duchy,
 A nasze serca bólem zadrgały
 Na wieść, że zgasły dni krwawej chwały.
 Pamiętajm gorycz, upokorzenie,
 Lecz ponad wszystko wiarę, marzenie,
 Że będziesz wolna, choć padłaś krwawo,
 Wielka Warszavo!

Kalisz, 1940

Stoimy, Orle, przy Tobie

Stoimy, Orle, przy Tobie

Z zaciśniętymi zębami.

Dla wielu jesteś już w grobie,

Lecz żyjesz pomiędzy nami.

Stoimy, Orle, gotowi

Do walki na śmierć i życie,

Byle Cię nie dać wrogowi

I znowu ujrzeć w zenicie.

Gdy wolny wzlecisz nad ziemią,

Schyl głowę w złotej koronie

Nad tymi, co w grobach drzemią,

Co padli w Twojej obronie.

Kalisz, 1940

Przysięgamy

Przysięgamy Ci, Wodzu Naczelny,

Wierną służbę, bez wahań i zdrań.

Każdy strzał nasz i cios będzie celny,

Każdy krok nasz to będzie Twój zwiad.

Przysięgamy Ci, Wodzu daleki,

Każdą krwi kroplę oddać za Kraj.

A Ty - rozkaż przez wrogie zasięki

Każdy z ziarnem otuchy nam daj!

Kalisz, 1940

Do gen. Sikorskiego

Już serca równiej biją,

Zanika ciosu ślad.

Zwierają się szeregi,

A obraz klęski zbladł.

Na wszystkich frontach świata

Polacy idą w bój:

Masz armię, Generale,

A Polska sztandar swój.

Spełniliśmy Twój rozkaz,

Odwrotu nadszedł czas,

Masz zbrojne ramię w Kraju,

Masz nas.

Kalisz, 1940

Do Hitlera

53

monen

Można Polskę zawojować,
Żaloszny kretynie,
Ale wiedz, że Ona żyje
I nigdy nie zginie!

Zgasną twoich zwycięstw chwile
Jak błędne ogniki
I powstanie wolna Polska
Na gruzach swastyki.

Kalisz, 1940

Biała Niewolnica

Możesz być dumną, Niewolnico Biała!
Choć kruki strzępy rwą z Twojego ciała;
Choć dzieci Twoich szaur nieprzeliczony
Rozniosły wichry w cztery świata strony,
Choć imię Twoje to tylko dźwięk głuchy,
Który szarpnięte wydają łańcuchy;
Choć przed otwartą rzucono Cię trumną -
Możesz być dumną!

Możesz być dumną, Niewolnico Biała,
Z synów i córek, którym świeci chwała:
Tych z Westerplatte, znad Bzury, z Warszawy,
Którzy za Ciebie przyjęli chrzest krwawy;
I tych dumnymi patrzących oczyma
Z katowni Dachau, Gusen, Oświęcimia;
I tych oporu będących kolumną -
Możesz być dumną!

Kalisz, 1941

Dla Ciebie

Dla Ciebie, Najjaśniejsza Pani,
Bez zastanowień i wahania
Wszystkie swe myśli i działania
Złożyłem w dani.

Dla Ciebie szczęścia promiennego
Skracałem chwile, by uparcie
W dziejowym mroku stać na warcie
U tronu Twego.

Dla Ciebie spokój mam na twarzy,
Choć myśl z rozpaczą toczy boje,
Bom rzucił żywe skarby swoje
U Twych ołtarzy.

Dałem ci, Najjaśniejsza Pani,
Wszystko, co w życiu wartość miało
I mogę jeszcze tylko ciało
Złożyć Ci w dani.

Sandomierz, 1944

Gdzie jesteś

Mówią jedni, że jesteś daleko,
Za gór pasmem i morza błękitem.
Drudzy szepcą, żeś blisko, za rzeką.
Inni jeszcze, żeś złudą i mitem
A ja wierzę, Ojczyzno, żeś wszędzie,
Gdzie krew polska i polska myśl płynie,
Gdzie nasz duch polski był, jest i będzie,
Czy na szczytach, czy w klęski głębinie.

Sandomierz, 1944

A k c j a

55

Siedemnasta trzydzieści.
Ruszamy.

Płowy łąn.
Za nim las i olszyny.
Prowadzi "Aga-Khan".
Idziemy.

Każdy pieści
Kurczowo zimną stal,
Jak szczupłą dłoń dziewczyny,
Z którą się roztać żal.
Zapadamy wśród liści,
Przy szosie.

Cisza wkrąg.
Automaty przyrosły
Do spokojnych już rąk.
Warkot.

Motocykliści.
Puszczamy silny zwiad.
Już ich skrył las wyniosły,
Uciszył po nich ślad.
Warkot.

Wozy sztabowe.
Teraz!
Serie - huk - błysk.
Rozpaczliwa obrona.
Drgający, wraży pysk.
Koniec.

Drżenie nerwowe.
Trofea: sprzęt i broń.
Bez strat.

Akcja skończona.
Swist - odskok - lasu ton.

M.P. 1944